II 1.406.718

J. B. MARCHLEWSKI

WSPOMNIENIA z DZIECIŃSTWA
SZKICE LITERACKIE
LISTY z JAPONJI

MOSKWA 1928

J. B. MARCHLEWSKI

SZKICE LITERACKIE
WSPOMNIENIA Z DZIECIŃSTWA
LISTY Z JAPONJI

Z przedmową B. MARCHLEWSKIEJ
Pod redakcją St. BORSKIEGO

Z 8 ILUSTRACJAMI

BN

NAKŁADEM B. MARCHLEWSKIEJ
Moskwa 1928

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001012447082

КНИЖНАЯ ФАБРИКА
ЦЕНТРАЛЬНОГО
ИЗДАТЕЛЬСТВА
НАРОДОВ СССР
МОСКВА ШЛЮЗОВАЯ
НАБЕРЕЖНАЯ 6

Главлит № А—9328
Тираж 2.500
Заказ № 932

BIBLIOTEKA NARODOWA
BN
II 1.406.718
1985 K 1880/5

OD REDAKCJI

Książka, którą oddajemy do rąk czytelnika, zawiera wspomnienia, szkice i listy J. B. Marchlewskiego, napisane w różnych okresach jego pracy. Nie mają one ze sobą logicznego związku, posiadają charakter różnorodny, jak różnorodną była indywidualność J. B. Marchlewskiego: inteligienta i robotnika-farbiarza, uczonego ekonomisty i nielegalnego konspiratora partyjnego, współzałożyciela i kierownika partji i agitatora-propagandysty, popularyzatora wiedzy, wychowawcy nowych kadrów partyjnych i wreszcie czerwonego dyplomaty rządu radzieckiego. Cechą jednak wspólną dla wszystkich podawanych w tym zbiorku szkiców jest to, że posiadają one charakter beletrystyczny, że dają ujęcie życia, stosunków i zagadnień pod kątem widzenia bystrego obserwatora, który tym razem roztacza przed nami nie dociekania polityczne, a szkice beletrystyczne, napisane jędrnym, żywym stylem.

Książka zawiera przedewszystkim rozpoczęte i niestety nie doprowadzone do końca wspomnienia autobiograficzne. Wspomnienia te były napisane na początku 1922 r. w Dajrenie, w okresie rokowań z Japonją, które toczył w owym czasie z ramienia rządu radzieckiego J. B. Marchlewski. Napisana przez autora część rękopisu opisuje tylko jego dzieciństwo. Szkic ten jest ciekawy z tego względu, że odtwarza otoczenie i warunki, wśród których kształtował się umysł Marchlewskiego — dziecka i młodzieńca. To otoczenie i warunki bynajmniej nie przyczyniały się do wychowania przyszłego współzałożyciela partji rewolucyjnej proletarjatu polskiego. A mimo to z otoczenia tego wyrósł J. B. Marchlewski taki, jakim go później znaliśmy: nieugięty bojownik o wyzwolenie klasy robotniczej.

Dalej idą trzy szkice, umieszczone w prasie partyjnej w latach 1893-97. A więc: „Made" — obraz nędzy i wyzysku ów-

czesnej klasy robotniczej, wydrukowany w „Sprawie Robotniczej” w 1893 r., „Sylwester w Cytadeli” — obraz stosunków więziennych, umieszczony 1 stycznia 1897 r. w „Saskiej Gazecie Robotniczej” („Sächsische Arbeiter Zeitung”) w Dreźnie i „Przed Pierwszym Majem w Warszawie” — obraz ówczesnej walki proletarjatu polskiego, wydrukowany w tejże gazecie 1 maja 1897 r.

Na zakończenie dajemy garstkę listów, pisanych do córki z Dalekiego Wschodu, z Czyty, Charbinu i Dajrenu. W listach tych, dających obrazy bytu, ludzi i stosunków, panujących w Japonji, J. B. Marchlewski występuje, jako bystry obserwator, szybko orjentując się w zupełnie nowych, nieznanych mu dotąd stosunkach.

Sądzimy, że te szkice, wspomnienia i listy zainteresują wszystkich tych, którzy cenią J. B. Marchlewskiego, jako jednego z najwybitniejszych rewolucjonistów polskich, teoretyków i praktyków ruchu komunistycznego.

KILKA OKRESÓW Z ŻYCIA J. B. MARCHLEWSKIEGO

Marchlewski po ukończeniu gimnazjum postanowił pracować w fabryce: został tedy farbiarzem. Oczywiście, momentem decydującym było tu to, że już wtedy był rewolucjonistą i rozumiał, iż to go zbliży z ruchem robotniczym. Już na ławie szkolnej brał udział w kółkach samokształcenia politycznego. Kółka takie musiały istnieć nielegalnie. Biorący w nich udział wiedział, że to mu grozi wyrzuceniem z gimnazjum i co gorsza — aresztem.

Ruch rewolucyjny w Polsce już był zapoczątkowany. „Proletarjat I" już miał swych wodzów i bohaterów. Ruch ten ogarniał również i młodzież. Marchlewskiemu łatwiej było zaznajamiać się ze źródłem nauk społecznych, z Marksem i Lassalem, gdyż znał język niemiecki narówni z polskim. Książki niemieckie choć zrzadka, jednak dostawały się w ręce rewolucjonistów i nietylko były czytane, lecz często i tłumaczone dla nielegalnego wydania.

Oczywiście, że fakt przerzucenia się z gimnazjum do fabryki musiał zwrócić uwagę żandarmerji. Marchlewski wiedział o tym. To też, gdy odbyła się rewizja w domu matki jego (trzymała ona młodzież na stancji i z tego utrzymywała się) u lokatora Szczepańskiego, znanego polskiego rewolucjonisty, który wówczas prowadził pracę propagandystyczną, M. zrozumiał, że grozi mu areszt, i nielegalnie udał się zagranicę. Zagranicą M. pracował w fabrykach w Szwajcarji i w Niemczech — w Saksonji. Jako robotnik fabryczny, był w ścisłym kontakcie z ruchem szwajcarskim, już wtedy miewał odczyty dla miejscowych robotników. Brał też czynny udział w życiu polskiej kolonji studenckiej i zwalczał prądy szowinistyczne wśród tej kolonji. Z okresu pracy w fabrykach niemieckich wspomnę o pieszych wędrówkach Marchlewskiego po Niemczech w roli czeladnika farbiarskiego — podczas których mógł zwiedzić fabryki i kraj i zgromadzić ten materjał spostrzeżeń, który na-

stępnie zużył w artykułach ekonomiczno-społecznych i politycznych w przeciągu szeregu lat.

Marchlewski w przedmowie do książki Balloda („Państwo przyszłości") *) pisze: „Sam ja w młodości byłem farbiarzem, pracowało się po 12 g. na dobę w ohydnych warunkach, gdyż fabrykantów mało interesowało, że trzeba było stać w wilgoci, bo podłoga była marna, w powietrzu przesyconym parą, gdyż wentylacji nie było".

Po powrocie z pierwszej emigracji przeniósł się M. do Łodzi, która już wówczas była ośrodkiem ruchu robotniczego. Jako największe skupienie robotnicze, Łódź stanowiła najbardziej podatny grunt dla wielkiego wyzysku robotników i nagromadzenia bogactw w rękach fabrykantów polskich i niemieckich.

Obrazek „Made" — to wrażenia z ówczesnych stosunków fabrycznych w Polsce.

Marchlewski w pracy rewolucyjnej wśród robotników łódzkich miał zadanie ułatwione. Roczny pobyt wśród zorganizowanych robotników szwajcarskich, a głównie niemieckich, znajomość języka niemieckiego ułatwiły mu pracę nietylko między polskiemi, lecz i między licznemi niemieckiemi robotnikami Łodzi.

W roku 1889 powstaje w Łodzi nowa silna organizacja „Związek Robotników Polskich" — który postawił walkę robotniczą na nowym gruncie. Związek uznał, że należy prowadzić przedewszystkim *walkę masową* zarówno o polepszenie bytu, jak i o zdobycie *praw i wolności politycznych*. Marchlewski w pozostawionej autobiografji pisze, że należał do założycieli „Związku". Praca agitacyjna „Związku" przyczyniła się do rozwinięcia się szerokiego ruchu strajkowego. Owocem tejże działalności „Związku" było świętowanie w 1890 r. poraz pierwszy dnia 1 Maja, które przeistoczyło się w strajk powszechny.

Głównych działaczy łódzkich rząd carski wkrótce usunął za kraty więzienne. Odbyły się masowe areszty, między areszto-

*) W przedmowie do rosyjskiego wydania z 1921 r.

wanemi był również Marchlewski, którego przywieziono do Warszawy i osadzono w X pawilonie Cytadeli. Siedział on wtedy w dużej celi, z kilkunastoma robociarzami. Czas nie zupełnie był stracony, prowadził tam kółka; robotnicy, poprzednio niemający czasu i możności kształcenia się, znaleźli w nim swego nauczyciela. Siedział on 11 miesięcy. Wypuszczony został za kaucją. Ponieważ rodzice byli niemieckiemi poddanemi, przeto syna, chociaż już poczynił poprzednio pierwsze kroki w celu uzyskania poddaństwa rosyjskiego, uważano nadal za obcokrajowca. Sytuacja była wyraźna. Po odsiedzeniu wyznaczonej mu kary musiałby opuścić kraj. Pozostawało wybrać bardziej celową drogę, postanowił uciec, aby na emigracji nadal dla ruchu pracować.

W aktach żandarmskich, teraz dla nas dostępnych, omawiających *proces 77 oskarżonych* w sprawie łódzkiej, znajdujemy wyrok dla Marchlewskiego: roczne więzienie i potym *„na zawsze wysłanie z granic Rosyjskiego Imperjum"*. Marchlewski, opuszczając kraj, miał określony cel —po części studjowanie nauk społecznych, wzięcie udziału w Kongresie II Międzynarodówki, który odbył się w pół roku po jego przybyciu do Zürichu i na którym był delegatem (miał bowiem zapewniony mandat od polskich robotników socjalistycznych), ponadto kierowała nim też chęć założenia czasopisma socjaldemokratycznego.

W materjałach departamentu policji w sprawie „Socjaldemokracji Król. Pol. z roku 1893" czytamy w zeznaniach jednego z oskarżonych, t. Krasuskiego, że M., wyjeżdżając, objaśniał mu, iż chce wydawać zagranicą czasopismo, i zapraszał go do współpracy.

Wiemy, że pierwszy numer pierwszego polskiego organu SDKP „Sprawa Robotnicza" — rzeczywiście w roku 1893 wyszedł, oraz że na Kongresie Międzynarodowym Zurichskim Róża Luksemburg występowała jako delegatka z mandatem właśnie od „Sprawy Robotniczej"

Na krótko przedtym, w tymże 1893 r., powstaje Socjaldemokracja Królestwa Polskiego, której jednym z założycieli był J. B. Marchlewski.

Po ukończeniu uniwersytetu przenosi się M. do Niemiec, aby wziąć żywy udział w prasie robotniczej.

W tym okresie pisze Karski (partyjny pseudonim — konieczny w jego nielegalnym życiu) podane w broszurze dwa szkice („Sylwester w Cytadeli" i „Przed 1-ym Majem w Warszawie").

Niełatwe było życie emigranta politycznego. Już w 1898 r. zostaje Marchlewski wydalony z Saksonji, gdzie był współredaktorem drezdeńskiego s.-d. organu. Udaje mu się jednak osiąść w Monachjum, lecz policja bawarska stawia za warunek, że nie będzie brał udziału w miejscowym życiu politycznym, co nie przeszkodziło Marchlewskiemu być współpracownikiem miejscowego monachijskiego organu socjalistycznego. W Monachjum był właśnie w okresie, gdy tow. Lenin organizował sławną „Iskrę". I Marchlewski dopomaga „Iskrze" stosunkami z towarzyszami bawarskiemi i stosunkami w drukarniach.

Rewolucja 1905 r. Wszyscy socjaldemokraci polscy podążają do kraju — tam przez czas pewien będzieześrodkowana praca rewolucyjna. Marchlewski niezależnie od swej woli przybywa z Monachjum do Warszawy dopiero jesienią; cały sztab partyjny tu się ogniskuje — trzeba pisać, agitować, zbierać fundusze, urządzać wiece — i to wszystko pod groźbą aresztu, przypadkowego lub przygotowanego przez policję. Co jakiś czas trzeba znikać z mieszkania lub wogóle z terytorjum miasta, jechać do Krakowa, wracać z nowym paszportem, gdyż poprzedni okazuje się już skompromitowany.

Marchlewski wyjeżdża jakiemiś okólnemi drogami do Berlina, stamtąd do Belgji. Ma bowiem polecenie partyjne zakupić broń w Belgji, — „urządzić granicę" dla przewozu tejże broni. Łódź zbrojnie występuje. Widocznie i Warszawa przygotowywała się.

Już i Róża Luksemburg i Leon Jogiches (Jan Tyszko) są zaaresztowani. Aresztują na ulicy i Marchlewskiego — na szczęście z dodatkowym paszportem w kieszeni. To dobrze. Wysyłają go do Modlina — wokoło obce twarze, będzie więc niepoznany. Po kilku tygodniach udaje się towarzyszom uwolnić go stamtąd. Wraca do pustego mieszkania, gdyż cały stek przy-

padkowości zrządził, że grozi mi areszt, uciekam więc, likwidując mieszkanie.

W 1908 roku zaczyna się nowy okres emigracji, tym razem nie w Bawarji, a w Prusiech. Okres ten trwa do 1916 r.

Fotografja monachijska z r. 1900.

Najciekawszy to w życiu Marchlewskiego okres bezpośredniej jaknajściślejszej współpracy z Różą Luksemburg nietylko w sprawach partji polskiej, lecz i w życiu partji Niemiec. Już je-

sienią w 1908 r. zaczyna wykłady w szkole partyjnej, zorganizowanej przez Zarząd SD Niemiec. W szkole tej wykładała Róża Luksemburg kurs ekonomji politycznej. Kurs ten został podzielony na wykłady z teoretycznej ekonomji, objęte przez Różę, i na wykłady ekonomji praktycznej, które objął Karski. Jeden ze słuchaczy tegoż kursu, niemiecki komunista Remmele pisze: „Znaliśmy Karskiego, jako wysoce wykształconego i wybitnego marksistę. Wśród socjalistycznych pisarzy, którzy pracowali nad praktycznym działem ekonomji politycznej, nad zagadnieniami kapitału finansowego, syndykatów, trustów, kartelów i potrafili popularyzować wiedzę wśród niemieckich robotników — zajmował Karski pierwsze miejsce. Niemiecka socjaldemokracja w początkach naszego stulecia posiadała z tej gałęzi wiedzy już sporą literaturę jego pióra".

Policja, troskliwie opiekująca się Marchlewskim — i tu położyła kres jego działalności. W roku 1913 już wykrystalizował się stosunek lewych radykałów partji S.-D. Niemiec do ogółu czasopism ongi radykalnych, a w tym okresie bezwarunkowo zmieniających już front naprawo, w stronę centrum Kautskiego. Róża Luksemburg, Meryng i Karski dobrowolnie zerwali i z redakcją lipskiej gazety („Leipziger Volkszeitung"), której najdłużej byli współpracownikami, a często współredaktorami, a która w tym okresie zaczęła kontrolować radykalny kierunek ich artykułów. Owa trójca wodzów musiała uciec się do wydawania własnego czasopisma w którym mogli atakować wyraźnie i bez kontroli *oficjalny kierunek* partji S.-D. Niemiec, ta bowiem coraz bardziej staczała się w bagno oportunizmu! W końcu roku 1913 zaczyna wychodzić trzy razy tygodniowo t. zw. „Socjal-Demokratyczna Korespondencja" — J. Karskiego, R. Luksemburg, F. Merynga. Wydawaliśmy ją hektograficznie, rozsyłaliśmy za skromną opłatą. Pismo zaczęło się rozpowszechniać nietylko w Niemczech, lecz i poza granicami Niemiec, o czym jestem bliżej poinformowana, jako sekretarz redakcji tego organu. Przedrukowywano artykuły z tej „Korespondencji" w całej prasie socjaldemokratycznej w Niemczech.

I w ten okres życia wtargnęła ręka prokuratorska. Marchlewski był dla policji obcokrajowcem, rosyjskim poddanym, i

trzynaście miast wytoczyło mu sprawę za 13-krotny przedruk jego artykułu z tejże „Korespondencji" („Jak kozacy w S.-Petersburgu"). Początkowo siedział w więzieniu berlińskim w Moabicie, po kilku tygodniach uwolniono go za wysoką kaucją, złożoną przez partję, lecz w przeddzień wojny w lipcu odbył się proces z podkładem czysto politycznym, gdyż oskarżono go o obrazę majestatu prusackiego oficerstwa — i skazano na więzienie.

Wojna — zaprzedanie interesów proletarjatu przez oficjalne wierzchołki socjaldemokracji, ogólny obłęd szowinistyczny, który ogarnął mózgi większości socjaldemokratów — zmusił naszą lewicę w Niemczech do skonsolidowania się — i wtedy, na początku wojny, powstaje Związek Spartakusowców, z której wyłania się później Komunistyczna Partja Niemiec.

„W mieszkaniu Szteglitza (pod Berlinem) odbywa się narada Róży Luksemburg z Meryngiem, Klarą Cetkin i Marchlewskim *), jak zorganizować klasę robotniczą Niemiec przeciwko groźbie masowej rzezi i wojnę imperjalistyczną zamienić w wojnę domową. Posiedzenie to było momentem historycznym", — pisze niemiecki towarzysz w trzynastą rocznicę wybuchu wojny. Dla spartakusowców zaczął się okres nielegalnej pracy: wydawanie „Listów Spartakusa" (Marchlewski był jednym z redaktorów), wydanie historycznego numeru „Internationale" (Międzynarodówka"), w którym Marchlewski pisze artykuł: „Kto płacić będzie koszta wojny", podpisując się ze względów konspiracyjnych jako „Johannes Kaempfer" i zachowując tylko pierwsze inicjały swego stałego pseudonimu: „J. K.".

W maju 1916 r. ostatecznie rząd Wilhelma zlikwidował pracę rewolucyjną Marchlewskiego. Aresztowano go i trzymano naprzemian to w więzieniu w Berlinie, to w obozie jeńców aż do roku 1918, kiedy to władza Radziecka oswobodziła go. Rząd niemiecki zażądał, aby więzień podpisał zobowiązanie, że nigdy do Niemiec nie powróci. Dobra ironnja historji zrządziła, że Marchlewski, powałany z Berlina telegraficznie przez Różę Lu-

*) Karol Liebknecht nie brał w tej naradzie udziału, gdyż był wówczas na froncie. Rząd niemiecki celowo go tam wysłał i użył do najcięższej pracy kopania rowów.

ksemburg, Liebknechta i Tyszkę jesienią 1818 r., zostaje skierowany z Moskwy do Berlina jako delegat od WCIK Sowietów na Zjazd Niemieckich Rad Delegatów Robotniczych.

Rok 1923. J. B. Marchlewski, jako rektor Komunistycznego Uniwersytetu M. N. Zachodu, obecnie imienia J. Marchlewskiego.

W Rosji Radzieckiej w okresie z 1918-1925 r. Marchlewski pracuje w najrozmaitszych dziedzinach. Niejednokrotnie bywa wyznaczony do prowadzenia rokowań pokojowych, zawierania umów w okresie pierwszych najtrudniejszych stosunków z sąsiadami Sowietów. Tak było w 1919 roku z Polską, w 1921 roku z Finlandją, a w końcu 1921 r. wysyła go rząd radziecki jako upełnomocnionego do prowadzenia rokowań z Japonją. Wtedy to Marchlewski zaczyna pisać niedokończone wspomnienia autobiograficzne i pisze szereg listów do córki, z których tylko część zachowała się, a które, miejmy nadzieję, dadzą czytelnikowi choćby drobne pojęcie o przedmurzu pięknej a ciekawej Japonii.

B. Marchlewska.

WSPOMNIENIA

Dzieciństwo

Marchlewscy, o ile wiem, pochodzą z zagonowej szlachty na Pruskich Mazurach. Rodzinę dziadka, Józefa M., pamiętam z dzieciństwa. Żyła ona wówczas w majątku Książki w Prusiech Zachodnich, w okolicach Grudziądza.

Ojciec mój, również Józef, był znacznie starszym od swych braci i, o ile wiem, był przyrodnim tylko ich bratem. O ile wiem! Gdyż nigdy te sprawy rodzinne nie interesowały mnie. Chodziło tam o jakiś dramacik familijny: ojciec mój urodził się ze związku nieślubnego dziadka z bogatą jakąś niewiastą, która umarła po urodzeniu syna i jemu zapisała majątek. Tym tłumaczą się różnice majątkowe: cała rodzina żyła na utrzymaniu krewnego Junkiena, człowieka zamożnego, ojciec zaś mój był bardzo zamożnym kupcem. Przypominam sobie niewyraźnie z opowieści, że ojciec mój wychowywał się poza domem, w Grudziądzu, potym w Gdańsku i Berlinie i wychowany został na kupca. W latach 50-tych przesiedlił się do Włocławka, gdzie prowadził na sporą skalę handel zbożowy. Ojciec mój nigdy z nami, dziećmi, o swojej przeszłości nie mówił, więc raczej z przygodnej opowieści innych osób wiem, że bywały lata, w których wszystkie szpichlerze nad Wisłą w Włocławku dzierżawił ojciec i wszystkie „berlinki" (tak nazywano za mego dzieciństwa spore łodzie żaglowe na Wiśle) były przez niego zakontraktowane. Skupywał snać zboże urodzajnych Kujaw i „Lipnowskiego" (część ziemi Płockiej) i spławiał do Gdańska. Pamiętam również z takich opowieści, że był on w pewnym znaczeniu „pionierem postępu", gdyż sprowadzał dla ziemian kujawskich maszyny rolnicze z Niemiec i z Anglji.

Lecz ojciec mój na kupca nie nadawał się, majątek stracił i umarł w zupełnym niedostatku. Najlepszą charakterystykę jego dała kiedyś jedna z pań za czasów mego chłopięctwa, naz-

BIBLIOTEKA BN NARODOWA

wawszy go „ostatnim gentlemanem”. Był to człowiek prawdziwie szlachetny i prawy, lecz miękki i mało samodzielny. Dla nas, dziatwy, był niewysłowienie dobrym. W pożyciu z ludźmi zyskiwał powszechną sympatję. Lecz odkąd go wyraźnie już pamiętam, znać było na nim ślady niepowodzeń życiowych. Straciwszy majątek, stał się zamknięty w sobie, ciążyło mu bardzo, że z zamożnego kupca, który trząsł niegdyś miastem i okolicą, potym musiał stać się oficjalistą. Lecz kogokolwiek spotykałem potym z tych, którzy mieli z nim do czynienia, wszyscy wyrażali się o nim z szacunkiem i sympatją.

Matka moja była niemką. Pochodziła z rodziny oficersko-urzędniczej w Westfalji, nazwiskiem Rueckersfeldt. W jej rodzinie również był jakiś dramat: ojciec jej dla jakichś powodów uciekł do Ameryki, zostawiwszy żonę z liczną bardzo rodziną na łasce losu. Zginął on w wojnie domowej Stanów Zjednoczonych, jako oficer stanów Północnych. Najstarsza córka tego awanturniczego wojaki, Augusta, zostawszy nauczycielką, przybyła do Włocławka, gdzie ją poznał i poślubił mój ojciec. Była ona niewiastą wykształconą, w młodych latach kołatała się przy jednym z owych miniaturowych dworów niemieckich, w księstwie Bueckeburg i tam nabrała pewnych manier dworsko-arystokratycznych.

Była ona przeciwieństwem swego męża pod tym względem, że posiadała niespożytą energję życiową. Temu bodaj zawdzięczamy ja i rodzeństwo, że po ruinie majątkowej ojca nie utonęliśmy w nędzy zupełnej, że udało się nam zdobyć wykształcenie i ostać się w „walce o byt”. Pozatym miała umysł bystry i ruchliwy, zachowując do sędziwego wieku zdolność interesowania się wszelkiemi sprawami politycznemi i kulturalnemi.

Urodziłem się 17 maja 1866 r. Wówczas jeszcze sprawy ojca szły niezgorzej. Mieszkaliśmy w niewielkim domku własnym przy uilcy Cygańskiej. Przy domu był ogród i sad, starannie przez rodziców pielęgnowany. Po drugiej stronie domu podwórze ze stajniami i szpichlerzami zbożowemi. Ogród był rozkoszny, a podwórze, w którym rządził stangret Jan Dolecki, było miejscem bajecznie ciekawych wrażeń. Niekiedy tłoczyły

BN

się tam „fornalki”, przywożące zboże, wrzała praca gorączkowa ludzi wyładowujących worki, rżały konie, brzęczało jak w ulu. Więc rozkoszą, połączoną ze strachem okropnym, było dostać się tam. To znowu po pracy ukończonej były tam zakątki, gdzie można się było bawić ciekawie, zwłaszcza, że w jednym kącie stała buda, mieszkanie łaciastej suki Fiuki, gdzie schowawszy się, można było długo zostać ukrytym przed niańką. A spichrze! Jaki to był cudowny widok, gdy robotnicy pod komendą Jana Doleckiego przesypywali zboże: stoi ich kilku i łopatami drewnianemi przerzucają żyto lub pszenicę z jednej kupy na drugą, by je przewietrzyć. Miarowo podrzucają łopaty ziarno i leci szeroką wstęgą pszenica kujawska, złocąc się w promieniach słońca wpadających przez okna. Albo mierzenie: sypią ludzie łopatami ziarno do wielkich drewnianych naczyń (wówczas nie ważono jeszcze zboża, lecz mierzono na korce i ćwierci) i liczą przytym, przyśpiewując monotonnie: „a pierwsza, a będzie druga, a będzie trzecia...” Można było długo, długo słuchać tego rytmu pracy. A gdy się naprzykrzyło, jakaż to była uciecha wleźć wysoko na belki spichrza i stamtąd skoczyć w kupę żyta, tak żeby się zanurzyć w nim niemal zupełnie.

Ponieważ w domu był dostatek, harmonja między rodzicami idealna, a matka kierowała się rozumnemi zasadami wychowawczemi, pozostawiając nam dużo swobody, nie rozpieszczając nas, nadto dom nasz był kulturalnym w najlepszym słowa znaczeniu, mogę rzec, że miałem pierwsze dzieciństwo istotnie „sielskie anielskie”.

Małe miasteczko, jakim był wówczas Włocławek, wytwarzał warunki nawpół wiejskie, lecz wrażenia wsi nie zostały nam obce, gdyż sporo czasu spędzaliśmy u krewnych i przyjaciół rodziców, po dworkach wiejskich. Zwłaszcza pobyt u mego „ojca chrzestnego”, Michała Muszyńskiego, typowego „ziemianina”, pozostał mi w pamięci, gdyż pamiętam, że pełno tam było w domu psów, drobiu, hodowano zające, kuropatwy i śród tej menażerji całej wolno mi było bawić się do syta.

Skończyła się ta idylla, gdy miałem lat ośm. Posłano mię do szkół do Torunia. Kierowało rodzicami zapewne przekonanie, że szkoła niemiecka jest lepszą od rosyjskiej, a nadto u mat-

ki odgrywały ponoć rolę tradycje rodzinne: była gorącą patrjotką niemiecką i zapragnęła uczynić ze mnie ni mniej ni więcej, tylko oficera czarnych huzarów! Los przecież zrządził inaczej: w tej szkole niemieckiej ani rusz nie chciałem się uczyć. Czy była w tym wina szkoły, czy też może wina warunków, w jakich mię umieszczono, nie umiem powiedzieć. Warunki te były w każdym razie nieszczególne: umieszczono mię „na stancji" u jakiejś rodziny niemieckiej, znajomej rodzicom. Był to dom jakiegoś przedsiębiorcy średniego, posiadacza warsztatu malarskiego. Szwagier zaś mego opiekuna był przedsiębiorcą malarskim. W obu tych domach były dzieci znacznie starsze odemnie i z chłopcami temi spędzałem godziny pozaszkolne przeważnie na budowlach, w których ich ojcowie prowadzili roboty. O naukę moją nikt nie dbał, więc nic dziwnego, że przesiedziałem 1½ roku w „septima" *), nie dostając promocji (promocje były semestralne). Skończyło się to katastrofą. Będąc w domu na wakacjach, zaśpiewałem jakąś piosenkę niesłychanie sprośną, której nauczyłem się u toruńskich murarzy, nie rozumiejąc oczywiście zgoła treści tych słów. Matka przerażona wygarbowała mi skórę i zadecydowała, że trzeba zmienić wychowanie. Na tym skończyły się owe aspiracje huzarskie.

Po Toruniu zostało wspomnienie ponure. Nie wiem dlaczego ugrzęzło mi wspomnienie wnętrza kościoła św. Jana, a szczególnie jakiś portret Wallensteina, nie wiem z jakiej racji umieszczony w zakrystji. Ponieważ w domu mego opiekuna była encyklopedja niemiecka, więc, zaciekawiony owym bohaterem, przeczytałem o nim, pewnie nie wiele rozumiejąc, lecz pomimo to Wallenstein stał się bohaterem moich chłopięcych dumań. Świetlanym zaś wspomnieniem jest stosunek mój do dwuch czeladzi malarskich polaków. Toruń był wówczas miastem nawskroś niemieckim, takim też był dom mego opiekuna, nie mówiąc o szkole. I otóż pamiętam, któregoś wieczoru dwaj czeladzie, pracujący u mego opiekuna, bawili się ze mną i jeden z nich rzucił: „a zawsze to co innego z polskim dzieciakiem: ten

---

*) *„Septima"* — siódma klasa. Numerację klas liczono tam od wyższych klas do niższych (*Red.*).

to nasz" i upieścił mię mocno. Pamiętam doskonale, że wówczas ponoć pierwszy raz w życiu poczułem swoją polskość. W domu rodzicielskim bowiem panował wówczas zupełny indyferentyzm narodowościowy. Rodzice rozmawiali pomiędzy sobą po niemiecku; ojciec z nami dziećmi mówił bądź po polsku, bądź po niemiecku zależnie od okoliczności. Guwernantkę mieliśmy niemkę, lecz służba była polską, a będąc na wsi też mówiliśmy po polsku. Język tedy nie odgrywał roli, byłem co się zowie „dwujęzycznym". Matka, jak wspomniałem, była gorącą patrjotką niemiecką, ojciec zaś był politycznie najzupełniej biernym. W szkole niemieckiej zapewne oddziaływano na dziatwę w duchu patrjotyzmu prusko-niemieckiego, lecz nie pamiętam, abym na to reagował w jakikolwiek sposób. Dopiero słowa owych czeladzi polskich wzbudziły we mnie coś jakby świadomość narodowości.

Owa haniebna piosenka zadecydowała o tym, że do Torunia nie wróciłem. Lecz jednocześnie sprawy majątkowe ojca wówczas pogorszyły się znacznie i posyłanie mię do szkoły w Niemczech snać było niepomiernym już ciężarem dla rodziców. Zadecydowano więc, że będę chodził do szkoły w Włocławku. Epizod toruński miał atoli ten fatalny skutek, że poważnie opóźnił moją edukację. Miałem bowiem lat dziesięć blisko, a nie umiałem alfabetu rosyjskiego. Szkoły zaś w Włocławku były rosyjskie i trzeba mię było uczyć tego języka. Odbyła się tresura w ten sposób, że znalazł się jakiś podoficer rosjanin, pisarz w pułku ułanów, który podjął się uczyć mię i mego o trzy lata młodszego brata „azbuki". Pamiętam, że była to nauka dosyć wesoła, gdyż z tym mentorem spędzaliśmy dużo czasu na przechadzkach, a snać musiał to być człowiek dobry i wesoły, gdyż bardzo go polubiłem i dzięki temu zapewne nauczyłem się niebawem tyle po rosyjsku, że mogłem wstąpić do pierwszej klasy „progimnazjum".

Środowisko domowe w owym czasie zmieniło się bardzo. Sprawy ojca szły bardzo źle i rodzice wpadli na niefortunny pomysł wzięcia w dzierżawę hotelu. Dom na „Cygance" został sprzedany i przenieśliśmy się do hotelu „Pod trzema koronami" w rynku Włocławskim. Pozostały mi wspomnienia mętne i nie-

miłe po tym życiu hotelowym: jakieś bale ziemiańskie, hulatyki oficerskie, wieczny rozgardjasz. Rodzice byli całkowicie pochłonięci zarządem hotelu i mało nam mogli udzielać czasu. Tłukliśmy się tedy po korytarzach hotelowych, salach bilardowych, po podwórzu brudnym, w którym były stajnie dla przyjezdnych obywateli okolicznych. Było tam pewnie i ciekawie; zawarłem znajomość ze stangretami, dokładnie rozróżniałem zaprzęgi każdego folwarku i interesowałem się niemi. Prócz tego miałem cały zwierzyniec: hodowałem gołębie i króliki, miałem lisa oswojonego, ogromnego kozła brodatego, kruka itp. Atmosfera hotelowa zapewne nie bardzo dodatnio wpływała na mnie, lecz nie pamiętam, aby to wywołało we mnie jakieś zdrożności nadzwyczajne. Zawdzięczam to może temu, że matka, pomimo że na nią spadał główny ciężar zarządu hotelem, przecież umiała znaleźć jeszcze czas na nasze wychowanie i jej to wpływ uszlachetniający paraliżował wpływy szkodliwe tego otoczenia.

Owe „progimnazjum" pozostawiło we mnie wspomnienia fatalne. Był to zakład prywatny niejakiego pana Kornackiego, lecz, jeżeli się nie mylę, kapitalistycznym przedsiębiorcą był ksiądz prefekt Gudart. Zarówno pan dyrektor, jak ks. G. czynili oszczędności gdzie mogli, więc personel nauczycielski był źle opłacany i nie tęgi, a najwięcej lekcji udzielali wymienieni dwaj. Obaj też dbali wielce o całość inwentarza szkolnego i wieczne pamiętam awantury o „szkody", jakie uczniowie czynili.

Specjalnością tego zakładu wychowawczego była kara cielesna. Odbywało się to w ten sposób, że w ciągu tygodnia zapisywano różne przewinienia uczniów, a potym w oznaczonym dniu odbywała się sumaryczna egzekucja: winowajca musiał spuszczać spodnie, przytrzymywał go na stołku pedel, a chłostę wymierzał — ksiądz prefekt. Później, czytając jakieś dzieło o zboczeniach umysłowych, przypomniałem sobie żywo minę i giesty „zacnego kapłana" i mam mocne przekonanie, że był on poprostu sadystą. Szkoła była czteroklasową; główny kontyngiens uczniów stanowili synkowie obywatelscy, śród nich wielu bardzo z tych czy owych przyczyn wstąpili do szkoły późno, dosyć że w klasie czwartej była młodzież niemal pod wąsem: chłopcy

15 i 16 lat. Z tego powodu owe egzekucje niekiedy przybierały formę bójki zaciętej, przy której pedle i ksiądz prefekt pasowali się ze swoją ofiarą, a nawet dochodziło do walki na noże. Te sceny stanowią najcięższe wspomnienie mego dzieciństwa.

Na szczęście niezbyt długo pozostawałem pod wpływem tych zacnych pedagogów: po półtorarocznym pobycie przeszedłem do rządowej szkoły realnej. Kary cielesnej tam nie stosowano, lecz był to bodaj jedyny objaw postępu pedagogicznego, gdyż pod wszelkiemi innemi względami stosunki były ohydne. Nie mogło też być inaczej w szkole, której głównym zadaniem była rusyfikacja młodzieży. Na domiar złego w włocławskiej szkole realnej znalazł się szczególniejszy dobór personelu. Dyrektorem był niejaki Lebiediew, o którym opowiadano, że był dawniej felczerem, a karjerę zawdzięczał ożenkowi z utrzymanką jakiegoś gubernatora. Inspektorem był jakiś typ policyjny o wybitnie tatarskiej fizjonomji, którego z tego powodu nazywaliśmy Mamajem — przezwisko, które go do pasji wściekłej doprowadzało. Głównym jego zajęciem było łapanie uczniów na „przestępstwach". Najważniejszym przestępstwem było mówienie po polsku. Za to sadzano do kozy, pazbawiano promocji, a nawet wypędzano ze szkoły. Dziko prześladowano też za niezapięte guziki. Nosiliśmy mundury z ciemnozielonego sukna z mosiężnemi guzikami. Krój był surduta z połami i malcy wyglądali bardzo komicznie w tym przyodziewku. Guzików na piersi było aż dziewięć i otóż przestępstwem kardynalnym było niezapięcie choćby jednego z nich. „Mamaj" w przerwach pomiędzy lekcjami uwijał się po korytarzach i po podwórzu i biada malcowi, który nie był opięty według regulaminu. Podobnie karano surowo za noszenie książek pod pachą, a nie w rańcu na plecach.

Dalej pamiętam nauczyciela języka rosyjskiego Rybołowa. Odznaczał się pijaństwem, grubjaństwem i łapownictwem. Ostatnie było ułożone w system: uczniowie z rodzin zamożniejszych otrzymywali złe stopnie, dopóki rodzice nie zgadzali się posłać ich na lekcje prywatne do zacnego pedagoga. Lekcje polegały na tym, że chłopaka sadzano do przepisywania, a pan nauczyciel w tym czasie urządzał drzemkę poobiednią; potym, zależnie od humoru, albo targał bez przyczyny ucznia za uszy

i wymyślał grubiańsko, albo też zbytkował z nim. W każdym razie po dziesięciu lekcjach, opłacanych 50 rublami, stopień poprawiał się.

Było w szkole jednakże kilku nauczycieli kulturalnych: przyrodnik Matuszewski, nauczyciel rysunków i języka francuskiego, francuz z pochodzenia, i ci wywierali na uczniów wpływ dodatni. Uczono źle. Przeważnie „zadawano" do nauczenia się w domu z podręcznika „stąd — dotąd", lekcja zaś upływała na przesłuchiwaniu uczniów. Arytmetyka polegała na rozwiązywaniu zadań przypominających raczej łamigłówki. Lecz nadewszystko musiało paraliżować wszelkie wysiłki owe rusyfikatorstwo. Dzieci, nie znając języka rosyjskiego, musiały uczyć się wszystkiego w tym języku. Karykaturą zupełną było, gdy dzieci polskie uczono języka niemieckiego lub francuskiego zapomocą tłumaczeń z rosyjskiego.

Opóźnienie w moim kształceniu osobistym miało i ten jeszcze skutek, że nie miałem prawie rówieśników śród kolegów, gdyż byłem starszy od nich o jakie dwa lata. Śród rodzeństwa bliską mi była siostra Marta, o rok odemnie starsza, lecz jak wiadomo chłopcy w wieku lat około 12 najgorzej bawią się z dziewczętami; brat zaś, Leon-Paweł, był o trzy lata młodszy odemnie; inne rodzeństwo jeszcze młodsze. Wobec tego w tym czasie byłem dosyć samotny i przywykłem bawić się sam.

Włocławek jest położony wcale ładnie. W owe lata wzgórza na przeciwległym brzegu Wisły były pokryte lasem, a po drugiej stronie miasta roztaczał się również las piękny, z prześlicznemi jeziorami. Odbywałem tedy, gdy tylko mogłem się wyrwać z domu, ukończywszy nudne lekcje, długie przechadzki samotne. Nie broniono mi tego i zdaje mi się, że te wycieczki wpływały dodatnio na mnie, nietylko pod względem zdrowia, lecz również wskutek zbliżenia z naturą.

Lecz nadewszystko umiłowałem Wisłę. Tylko, że tam nie byłem już sam, a miałem licznych przyjaciół, mianowicie „przewoźników", jak ich zwano. Nie było wówczas mostu stałego pod miastem, tylko „łyżwowy", który na zimę usuwano. Otóż, dopóki lody nie stawały, przeprawiano ludzi i furmanki na promach i tę pracę wykonywali owi moi przyjaciele; stąd

ich nazwa. Była to praca ciężka i po części niebezpieczna, gdyż przeprawa przez Wisłę, gdy idzie kra, nie należy do rzeczy łatwych. W lecie ci moi przyjaciele po części pracowali przy moście (trzeba było co dnia parękrotnie usuwać część łyżew mostowych, by przepuszczać tratwy i statki), po części trudnili się rybactwem, lub wydobywaniem z rzeki piasku i żwiru. Proceder przewoźnictwa łączył się z ruchem w hotelu i stąd moja zażyłość z przewoźnikami. Zabierali mię tedy na swoje przeprawy, a w lecie na połów ryb. I jedno i drugie było „strasznie" ciekawe! Praca na promie, gdy kra gęsta parła z ogromną siłą, była oczywiście czymś niezmiernie pociągającym dla chłopaka, a połów ryb niemniej. Wówczas jeszcze jesiotry dochodziły do Włocławka i wyżej. Łowiono je wielkiemi niewodami, które ciągnęło kilka łodzi. Wydobycie jesiotra wielkości człowieka niekiedy było sprawą nielada. No, a życie na tratwie to też przecież rzecz ciekawa. Przez pewien czas ulubionym bohaterem moim był „retman", tj. człowiek, który kieruje spławem tratew. Jeździł on na „duszegubie", czółnie wąziutkim, wyciosanym z jednego pnia; stojąc wyprostowany w tym czółenku, kierował pracą flisaków okrzykami lub sygnałami dawanemi wiosłem, podnoszonym w górę. Przez moich przyjaciół przewoźników miewałem sposobność zapoznawać się z owemi retmanami. — Przyjaźń ta nie była pewnie z ich strony zupełnie bezinteresowna, gdyż niejedną butelczynę piwa i wódki wyniosłem skrycie z piwnic hotelowych, by ją podtrzymać, lecz niewątpliwie niektórzy z nich lubili mię szczerze i otaczali mię baczną opieką. A wpływ ich na mnie był dodatni, przebywanie z niemi dodało mi hartu, chroniło od zniewieściałości. Bez nich byłbym może ugrzązł w paskudnym środowisku hotelu, gdzie z konieczności stykałem się z osobnikami o niewielkiej wartości moralnej i byłem świadkiem scen wstrętnych. Matka nie broniła mi tych wycieczek, jak wogóle pozostawiała nam dziatwie dużo swobody.

Były wszakże inne jeszcze wpływy pozaszkolne. Ojciec był katolikiem, matka luteranką, lecz nas dzieci ochrzczono po katolicku. Nic dziwnego tedy, że księża zwracali na nas szczególniejszą uwagę: duszyczki katolickie, wychowywane przez matkę

heretyczkę! Kierowali zaś wtedy klerem włocławskim ludzie bardzo gorliwi. Na czele stali dwaj bracia Chodyńscy. To też zarówno siostra moja, jak ja, a nawet młodsze rodzeństwo, drobiazg jeszcze wówczas, zostaliśmy otoczeni opieką specjalną. Dopięła ta opieka tego, że staliśmy się przejściowo żarliwemi katolikami, pomimo absolutnej obojętności rodziców w sprawach religijnych. Wypowiadała się ta żarliwość w egzaltacji, w obserwowaniu obrządków. A trzeba przyznać, że ci duszpasterze brali się do dzieła bardzo sprytnie. Demagogiczne kojarzenie katolicyzmu z polskością, granie na poetycznym patrjotyźmie dziecięcym po to, by tym głębiej wkorzenić klerykalizm, było to środkiem najskuteczniejszym ponoć *).

*) Tu rękopis się urywa.

M A D E

(*OBRAZEK*)

Był poranek jesienny, zimny, mglisty, przygnębiający. Warszawa spała jeszcze. Tylko gdzieś tam na przedmieściu zaczynało budzić się życie. Rozlegały się długie przeciągłe świstki fabryczne: „wstawaj, wstawaj". Z domów wychodzili ludzie po ciężkim śnie gorączkowym, dusznym, z oczyma zaspanemi, zmęczeni, zmizerowani. Śpieszyli niemi i ponurzy do nowej pracy, nowej mordęgi.

Po środku ulicy wlókł się ku rogatce cały szereg wozów, naładowanych śmieciem. To przygotowania do toalety nadwiślańskiej elegantki. Wozy wyjeżdżały za rogatki i ginęły w ciemności. Jeden z nich zmierzał prosto na wielki plac przy „gliniakach". Na koźle siedziało dwuch ludzi: jeden w starym, obszarpanym paltocie kierował chude szkapy, drugi w szarym, zadługim szynelu żołnierskim drzemał, skurczywszy się i kiwając na twardym siedzeniu. Szkapiny człapały powoli w błocie, wóz grzązł coraz głębiej, zarył się prawie po osie, wkońcu stanął.

Woźnica splunął przez zęby: „Bodaj cię połamało" zaklął; szturgnął w bok towarzysza i zeskoczył z kozła. Drugi wygramolił się powoli, plącząc się w długich połach szynela. Ziewnął apatycznie i jął pomagać, podpierając kłonicę plecami. Woźnica śmigał batem ciętym po szkapach: „wio zdechłe, a nuże was". Szkapiny szarpnęły raz, drugi i — ani rusz. „A bodaj cię siarczyste spaliły, choć zdychaj zaraz", zaklął woźnica i rżnął bat i lejce o ziemię w pasji ostatniej. Towarzysz jego obojętnie mruczał coś pod nosem. Ale zjawiła się pomoc.

Tam na samym brzegu „gliniaków" pod parkanem, w którym przy szarym półświetle można było rozpoznać bramę z czerwonym szyldem „*F. Baucher*. Fabryka mydeł toaletowych" zaczęły się poruszać jakieś cienie, — to śmieciarze, czekający na

zdobycz. Ciekawe tam były postacie: i dziady, i baby, i wyrostki, i dzieciaki, siedzieli przytuleni do parkanu, chroniąc się od drobnego przejmującego deszczu. Teraz śpieszyli na pomoc.

Przed wszystkiemi biegła „Hanka djablica”, wywijając nad głową siódemką i wrzeszcząc nieludzkim głosem. Na głowie miała worek jakiś, z pod poszarpanej spódnicy wyglądały bose nogi, czarne jak święta ziemia. Mądry, kto by odgadł: chłopak to czy dziewczyna, młode to — czy stare, gdzie mieszka i jak żyje? A djabli komu do tego. Czy jej kto swat, czy brat? — Skąd się wzięła? — Spytajcie ostu, skąd wyrósł... Za nią czeredą walili inni. Dopadli wozu; rzuciliby się z chęcią na ten łup świeży, ale wiedzieli, że „z panem furmanem” nie żarty, kozicą zdzieli. Więc naprzód chwycili za koła, za kłonice, pomagając jak kto mógł. Woźnica zebrał w garść lejce, kozicę odwrócił grubym końcem i lunął po szkapach. Wyciągnęły się ich długie, cienkie szyje, nogi wygięły się jak pałąki, zda się puszorki piersi wązkie przetną, oczy na wierzch wylazły. Szarpnęły raz, drugi,— wóz się potoczył przy wrzasku piekielnym i wjechał na środek placu.

— No, hulaj rebiata. — I cała zgraja rzuciła się na wóz, wyrzucając drogocenną zawartość na ziemię. „Siódemki” zaświstały w powietrzu. Od czasu do czasu rozlegał się pisk albo wrzask dziki: ktoś wydarł drugiemu szmatę lub kość, odbierając za to po łbie od pokrzywdzonego. Po kilku minutach już wóz był próżny i śmieciarze powracali na stanowisko, dźwigając pełne worki i kosze. Przed wszystkiemi znowu biegła w podrygach Hanka; na głowie miała teraz mankiet papierowy starego bukietu, a w ręku jakiś kij pozłacany, którym wymachiwała jak buławą, wyśpiewując uliczną piosenkę.

Cały ten obrazek miał jednego tylko widza. Przy wysokiej pompie w podwórzu fabryki pana Bauchera stał człowiek okryty płachtą, w butach owiniętych grubemi onuczami i powoli oburącz podnosił drąg pompy do góry, potym nalegając całym ciężarem ciągnął na dół. Stał tak odwrócony tyłem do pompy, kiwając się powoli, miarowo, i patrzył na śmieciarzy. Zimno mu było, deszcz drobny przenikał zda się aż tam gdzieś pod skórę, aż do szpiku kości. W szarym brzasku postacie przed

nim nabierały jakichś dziwnych kształtów, wiedźmy jakie, czy co? Aż przystanął i gapił się tak z otwartemi usty. Wtem w budynku bocznym otwarto lufcik, z którego wysunęła się gęba nieumyta pana Bauchera.

— Made, szakrew, pompowacz. Ja nie potrzebowacz leń, robicz albo za brama. Fauler Hund *), — i zatrzasnął lufcik.

Made wzdrygnął się, wyprostował, pochylił i znów jak automat zaczął się kiwać.

— Za bramę. No jużci, ludzi dosyć się włóczy. A jak go wyrzucą, to co? Z siódemką tam do śmieciarzy, — dreszcz go przejął, aż zimniej mu się zrobiło.

I stojąc tak, a kiwając się, zaczął myśleć o sobie, powoli. Cała przeszłość stanęła przed nim. Ot, nie zawsze był takim. Toć i nazwisko szwab mu dał nie swoje: Made, gdzieby się tam kto zwał Made. Był on wprawdzie Maciej Grzelak; szwab nie umiał wymówić Maciej i zrobił Made. Toć ci ludzkiego języka tak i nie ma w gębie. At, i nie zawsze z nim tak było. Wychował się hen daleko na Kujawach. Parobek był, jak się patrzy, wyrósł, oddali do dworu, fornalem był. Coś potym zakotłowało się, moskali bili, bił i on. Po powstaniu tam ziemię dawali, ale tylko tym, co mieli; on nie miał nic, to i nic nie dostał. A we dworze nastał panicz młody na miejsce starego dziedzica. Porządki nowe zaprowadzał. ludzi połowę wyrzucił, jego także. Taj, cóż było robić, poszedł se w świat; przywlókł się do Warszawy. Trudno tam było w onej przeprawie. Wiadomo, nie karetą pojechał. W Warszawie zrazu poszło jako tako. Fabrykę stawiali na Solcu **). Wzięli do budowy, a potym i do fabryki; kazali kowalom pomagać. Ot, robota była: piekło nie robota. Ale nic, zdrów był, chociaż zawsze nie tęgi. Mały był, robota chyba go już od maleńkiego sterała. No, ale zarabiał nieźle. Zawsze cztery ruble były na tydzień, a i chleb wtedy był tańszy. Spodobała mu się dziewczyna. Magda jej było, służyła za praczkę. Tam chodził do niej, wiadomo — kawaler. Pobrali się w końcu. Uśmiechnął się Made na to wspomnienie — kilka dob-

*) Leniwy psie *(Red.)*.

**) *Solec* — przedmieście Warszawy *(Red.)*.

rych lat. Dwoje dzieciaków mu się wtedy urodziło. Ot, wychował na pociechę sobie: jeden u majstra stolarskiego w terminie był, już miał lat 12, kiedy spadł z rusztowania w nowej kamienicy i zabił się nieborak. Drugi rozbisurmanił się na nic, teraz przepadł całkiem, ponoć go do wojska wzięli, kędyś na kraj świata.

Żył tak lat 15 z żoną, on robił przy kowalach, a ona prała i można było koniec z końcem połatać. Aż kiedyś zasłabła mu kobieta, pewnikiem się przeziębiła. Coś się jej we wnętrzu zrobiło, chorowała i cherlała tak lat trzy. Rzetelnie babę ratował i doktora nie żałował, i aptekę płacił. Zmarło jej się. Poczciwa była kobieta. Niech jej tam pamięć wiekuista świeci.

Od tego czasu coraz gorzej mu było. Z sił zaczął opadać. Kiedyś dźwignął zamocno, zakłuło go tak, pod samą łopatką. Zaczęli go przeciągać, prostować, nic nie pomogło. Poszedł do szpitala, przeleżał bez mała trzy kwartały. Kiedy wyszedł, już nie był do ciężkiej roboty. Oj, najadł się wtedy biedy. Trzy miesiące chodził bez roboty, w końcu postawili go tu przy pompie. Już pięć lat tak pompuje od 6-ej rano do 7-ej wieczór. Deszcz nie deszcz, żar nie żar, mróz nie mróz. At, a jeżeli by go tak teraz stąd wyrzucili? Nic, tylko z siódemką tam na śmiecie, do tego piekła...

Pociągnął silniej za drąg na tę myśl, aż zaskrzypiały zawiasy u góry przy bloku. Zdawało mu się, że tam coś mu do ucha piszczy: „zmarniejesz, zmarniejesz".

Rozległ się dzwonek. Ot i śniadanie. Powlókł się do fabryki. Zdjął worek z głowy, onucze z butów, powiesił przy kotle, by przeschły trochę i poszedł do suszarni. Tam zebrali się już wszyscy. Dwuch czeladzi i kilku pomocników, trzech chłopaków i dziewuchy z „pakierni". Kobiety przyniosły strawę w garnkach i podały mężom. Made zasiadł przy Antonim, swoim kumotrze, u którego mieszkał, płacąc dwa i pół rubla na tydzień za „kąt" i wikt. Antoniowa podała mu garnek z kartoflanką i zajadał powoli, rozkoszując się ciepłem. — Zjedli, i siedzieli tak w milczeniu. Dzień już taki był, że i gęby się otworzyć nie chciało. Baby tylko coś tam szwargotały, a pod ścianą na ławie chłopaki przekomarzały się z dziewuchami, które piszczały, jakby je kto ze skóry darł.

— A wita wy, że od jutra chleb o grosz podrożeje na funcie, — odezwała się nagle Antoniowa, — piekarz mówił.

Wszystkie głowy się poruszyły, jak błyskawica przeleciała ta myśl: grosz na funcie.

— Masz ci los, — odezwał się Antoni, — i tak już niewiadomo jak się wygrzebać. Jeszcze i tego brak. — Cisza zaległa znowu.

— Taj wielkie rzeczy. Chleb podrożał, będziem jeść marcepany, — zadowcipkował Jędrek, urwis szesnastoletni.

— Nie bluźniłbyś, zbereźniku, — strofowała go Antoniowa. — To już i dla świętego chleba i dla ludzkiej krzywdy poszanowania niema taki.

— Ba, jemu to co. Trzy ruble zarabia, dziesięć złotych matce tylko daje, to i tak mu zostanie, żeby się uchlał, — mruknął ktoś; — ale spróbowałbyś, zbereźniku, za trzydzieści złotych nakarmić siebie i pięcioro drobiazgu, inaczej byś śpiewał.

— A ja wam kazał tyle dzieciaków płodzić i chować? Toć wolałbym burej suce dać na pożarcie.

Tu już Antoniowa nie wytrzymała, jak schwyci kawał drewna, jak kropnie, ale zamiast w Jędrka, w małego Kostusia, co się grzał przy rurze, prosto mu w brzuch trafiła. Zaczął się drzeć nieborak, a Jędrek aż się za boki brał ze śmiechu.

— Taż, chyba do Bauchera pójdziem, — zakonkludował Antoni, — poprosim niech podwyższy, albo co.

— Oj, da ci wam, aż wam się ręka skrzywi, jak będziecie brali, — odparł czeladnik Franciszek. — Da. Jak weźmiecie, to da. Oni w prośby. Tu próśb niema, rzucać robotę, i dać mu wóz albo przewóz: płać po ludzku, albo nie robim.

— A jużci, a przez ten czas z głodu powyzdychamy.

— Et, gadanie. Wam to zaraz dusza w pięty. Cóż to, on sam mydło nawarzy, czy co? Ot, gdybyście tylko chcieli. Ale co to gadać. Jeszcze was bieda rozumu nauczy... Machnął ręką Franciszek i począł fajkę zapalać.

Dziwny to był ten Franciszek. Bywały człowiek. Całą Polskę przechodził wdłuż i wszerz. Majstrom się bardzo stawiał, ale go brali, bo robił jak nikt. A zawsze tylko jedno powtarzał:

„Gdyby robotnicy chcieli, to inaczej musiałoby być na świecie”. Już tam kilka razy też coś i wskórał. To znów gadali, że go kiedyś do cytadeli za to wsadzili, że buntował, ale on nic, swoje robił. A i tu pewno jeszcze za wygrane nie dał, chociaż go zrazu nie słuchali.

— Co robić, co robić? — powtarzał Antoni.

Made jedną tylko radę znalazł.

— Ot, pasa podciągnąć, kiej chleb zdrożał.

Rozległ się dzwonek. Powstawali i poszli do roboty. Made też odział się i poszedł do swojej pompy. Jeszcze gorzej zimno mu się wydało. Stanął jednak i zaczął znowu kiwać się, jak automat.

Ale spokoju nie mógł znaleźć: ten grosz na funcie. Straszna rzecz. Żeby zagłuszyć natrętne dumy, zaczął silniej szarpać drąg, i jak na przekorę znów mu zapiszczało nad głową: „zmarniejesz, zmarniejesz”.

Dziwnie przejmował go ten zgrzyt zardzewiałych zawiasów. W wyobraźni widział już siebie, jak zmarniał, jak stał tam przy innych z siódemką i z workiem. „Tfu, urok, czy co”. Ani na chwilę nie milkła już złowroga wróżba, „zmarniejesz, zmarniejesz”. Postanowił położyć temu koniec.

Poszedł po bańkę z oliwą, przystawił drabinę i wlazł na pompę, żeby posmarować piszczące zawiasy. Ale czy był tak skostniały, czy drabina tak śliska, — kiedy właśnie miał zabrać się do dzieła — obsunął się i spadł na ziemię.

Wybiegli towarzysze z fabryki, przyszedł sam Baucher, klnąc po niemiecku. Podnieśli chłopą. Krew mu się rzuciła gardłem, leżał bez czucia. Sprowadzono dorożkę i odwieziono go do szpitala...

— —

Ubiegło koło roku.

W fabryce pana Bauchera wrzała robota. Powiększył warsztat, sprowadził kociołek parowy, odnowił budynki, — szło jak po maśle. Stara pompa ręczna tylko została, bo była wygodną, najemnik był tańszym w tym razie od maszyny, i nowy robotnik kiwał się przy niej.

Był znowu jesienny, zimny, mglisty poranek. Na placu przed fabryką uwijały się wśród świeżego śmieciska różne ludzkie postacie. Na czele biegła znowu „Hanka djablica". A za wszystkiemi na końcu wlókł się nowy towarzysz — zgrzybiały kaleka, skurczony, z siódemką i workiem. Był to Made.

Patrzył na niego nowy pompowacz i zdawało mu się, że i jemu także zawiasy prorokują: „zmarniejesz, zmarniejesz"...

Nietrudna wróżba. Toż na to jest dzisiaj robotnik, żeby bogacił Baucherów i Brzuchalskich, a gdy sił nie stanie, zmarniał na śmietniku.

„SYLWESTER" W CYTADELI*)

Szarski obudził się i rozejrzał się po celi: cztery nagie ściany, do połowy bielone, a na wysokości człowieka pomalowane na kolor szaro-niebieski, prosty sosnowy stół, na nim kilka książek, stołek, dzban i miednica — oto wszystko. W celi jest zimno i wilgotno; Szarski wstrząsa się wewnętrznie i szczelnie otula się grubą kołdrą.

Znowu nadchodzi dzień, jeden z wielu, które już tu spędził, a ile ich jeszcze nadejdzie? Tego nie wie nikt — to wiedzą tylko psy gończe jego carskiej mości — oficerowie żandarmerji, którzy prowadzą śledztwo w sprawach politycznych, a tymczasem trzymają swoje ofiary w murach Cytadeli warszawskiej. Ileż to współtowarzyszy niedoli cierpi z nim razem? Tego Szarski nie wie. Pewne jest tylko, że wszystkie cele są zajęte, przynajmniej w tym korytarzu; ale kto siedzi za temi grubemi żelaznemi drzwiami? — to pytanie nie daje mu spokoju. Wszystkich sposobów próbował, aby się czegoś dowiedzieć, nie udało się jednak — system, którego celem jest zupełna izolacja pozostałego pod śledztwem więźnia, osiąga swój skutek. Szarski zna przynajmniej swoich sąsiadów z lewej i z prawej strony: porozumiewają się zapomocą pukania. 24 litery alfabetu rozdziela się na 4 szeregi po 6 liter w każdym. Pukaniem w ścianę oznacza się najpierw szereg, stosownie do liczby uderzeń, potym literę. W ten sposób rozmawiał ze swemi sąsiadami. Godziny nieraz mijają, zanim uda się wyrazić jakąś myśl, ale czasu wszakże mają dość. Och, rozpaczliwie dużo czasu!

Było już widno; w korytarzu rozlegały się kroki ciężkich sołdackich butów — zmieniano wartę — więc musi już być 9-ta. Zegarka więźniowi przy sobie mieć nie wolno; mógłby

*) Napisane przez autora po niemiecku (*Red.*).

przekupić strażnika. Trzeba więc wstawać, choć zimno jak w psiarni. Szarski zrywa się z posłania i zabiera się do mycia. Zanurza głowę w miednicę i myje się aż do pasa lodowato-zimną wodą. To podobno zdrowo, a Szarski ma teraz czas pielęgnować swoje zdrowie. Na wolności nie było na to czasu. Wówczas musiał już o 6-ej stać przy warsztacie. Teraz był panem co się zowie: mógł sobie spać ile dusza zapragnie i ubierać się tak długo, jak mu się podobało. Po umyciu wytarł się szorstkim ręcznikiem — to go rozgrzało. Potym zaczął biegać szybkiemi kroki tam i zpowrotem: 8 kroków wzdłuż, 6 kroków wszerz — a więc 10 kroków wpoprzek, to wiedział dołanie. Biegał wszakże tak dzień w dzień, a ilu wymierzyło już tę celę tak swemi kroki? Ilu! Na podłodze od okna aż do przeciwległej ściany widniała wyraźnie wydeptana ścieżka — to była najdłuższa droga; dlatego tak chętnie chodzono po niej tam i napowrót.

Z pół godziny biegał już tak, kiedy zapukano w ścianę. Pukał sąsiad, młody kleryk, zaaresztowany za rozpowszechnianie patrjotycznych pieśni kościelnych, które przemycał z Prus w małych książeczkach. Coprawda nie mieli sobie wiele do powiedzenia katolicki ksiądz i ślusarz socjalista, ale mówili sobie przynajmniej dzień dobry i dzielili się nowinkami więziennemi: czy to przybył nowy towarzysz niedoli, czy wyszedł ktoś na wolność, wiedziano ze szmerów dolatujących z dziedzińca i z korytarza, a które z czasem nauczono się rozpoznawać.

Szarski stanął przy ścianie i słuchał: uderzano w ścianę raz za razem. Litera szła za literą: powstawały w ten sposób słowa i zdania. Ksiądz donosił, że do sąsiedniej celi przybył nowy więzień, porozumieć się jednak z nim nie można, gdyż przybyły nie zna pukania.

Ta nowa wiadomość usposobiła Szarskiego jeszcze fatalniej. Miał zresztą wszelkie powody, aby się denerwować.

Siedział już oto od maja i postępował zgodnie z radą, której zwykle przestrzegała organizacja. Rada była taka: jeżeli cię zaaresztują, nic nie gadaj, nikogo nie znasz, nic nie wiesz. I gdyby nawet żandarm dziesięć razy stwierdzał coś jako fakt, co rzeczywiście jest prawdą, lub co rzekomo słyszał od innych

aresztowanych — trwaj przy swoim zaprzeczaniu. Koniec końców żandarm wie wszystko tylko od szpicli, a to nie wystarczy, aby stwierdzić winę. Dziesięć razy był już Szarski badany w ciągu tych 8 miesięcy i za każdym razem z całym spokojem wszystko negował, wszystkiemu zaprzeczał. Tak było nawet lepiej. W ten sposób nikogo nie można było skompromitować. Wczoraj znowu go ciągali na badanie. Znowu musiał oglądać wstrętną różową nadętą gębę rotmistrza żandarmów, jego małe, świdrujące, chytre, jadowite oczki: znowu te same pytania: „pan należy do tajnej socjal-rewolucyjnej organizacji?" „Od kogo otrzymał pan książki, które u pana znaleziono? Studenta N. pan zna? A ślusarza A.? A stolarza B.? Był pan 1 maja na „Wyspie" po drugiej stronie Wisły? Gdzie naznaczono spotkanie?"

Z całym spokojem odpowiadał znowu „Nie i nie". I wreszcie: „Nie wiem nic o żadnym zebraniu; książki znalazłem w swoim mieszkaniu, skąd pochodzą nie wiem". Tak było za każdym razem. Uśmiechał się już, dając te odpowiedzi, a oficer wściekał się i biegał jak szalony, klął, bił pięściami w stół, groził. Próbował zrazu zmusić Szarskiego do zeznań, tłumacząc mu, że kłamstwem pogarsza tylko swoją sprawę. Groził, że „będzie tak długo gnił w więzieniu, aż zmięknie". Tym razem zgrzytnął tylko zębami jak wilk: „Oczywiście, pan nic nie wie? Musiała tu zajść omyłka, należy pana uwolnić". Mówiąc to, nacisnął guzik dzwonka elektrycznego. Drzwi rozwarły się nagle i szybkiemi kroki weszło dwuch żandarmów, a pomiędzy niemi więzień. Szarski znał go — był to towarzysz. Był blady i drżał całym ciałem, gdy stanął przed stołem, za którym siedział żandarm. Nie śmiał oczu podnieść. Oficer zwrócił się do niego, cedząc miodowym słodkim głosikiem: „A więc kochany Pawłowski, broszury majowe otrzymaliście od ślusarza Szarskiego, prawda? Ten człowiek to jest Szarski. Poznajecie go? Prawda?"

Więzień rzucił płochliwie spojrzenie na Szarskiego. „Tak, to on. To on dał mi broszury, abym je rozpowszechniał, on namówił nas, abyśmy 1 maja nie szli do roboty, tylko pojechali na „Wyspę" — wyrzucił ochrypłym drżącym głosem i zdawało się, że zaraz upadnie, złamany wstydem i strachem.

Szarski wyprostował się: oczy jego ciskały błyskawice, wyraz bezgranicznej pogardy wykrzywił piękne rysy młodej twarzy.

— Podły psie! — rzucił przez ściśnięte zęby. Potym stał milczący, wpijając dłoń w blat stołu, całym swym młodym i prężnym ciałem naprzód podany; oczy jego przeszywały zdrajcę jak dwa sztylety. Jeszcze chwila i byłby się rzucił na nikczemnika, wydającego organizację.

Ale rotmistrz osiągnął swój cel. Skinął ręką, aby wyprowadzono Pawłowskiego.

Wciąż jeszcze nie śmiał nędznik oczu podnieść, czuł widocznie na sobie spojrzenie Szarskiego, gdyż łamał się niemal pod tym spojrzeniem, że go żandarmi musieli podtrzymywać. Kiedy przechodził obok, Szarskiego uderzył silny zapach wódki.

Szarski pozostał sam z inkwizytorem. Błyskawicznie pracowała myśl: co czynić teraz? Czy ten pies więcej wyszczekał? czy wszystkich wydał? Nie, znał tylko mnie, wszakże nie był wtajemniczony i inni członkowie organizacji nie byli z naszej fabryki. A więc — biorę wszystko na siebie".

Kiedy oficer zwrócił się teraz do niego, Szarski był biały jak płótno, ale twarz miał spokojną, nieruchomą i zajadłą. Brązowe oczy spoglądały zimno i drwiąco — cała postać — jak z kamienia wykuta.

— No, cóż pan powie teraz? Czy chce pan trwać dalej w swym szalonym uporze? Chce pan dalej kłamać? Ja wiem wszystko. Wszyscy już zeznali. Tylko pan musi jeszcze się przyznać. Wina pańska jest jasna, tylko rozumne przyznanie się do wszystkiego może panu pomóc. Powiedz pan wszystko, co pan wie — wówczas kara będzie łagodniejszą.

Oczy żandarma wpiły się drapieżnie w twarz ofiary — sam trząsł się ze wzruszenia. Jeżeli teraz uda mu się zmusić tego szaleńca do mówienia, wówczas wszystko będzie osiągnięte: śledztwo, które doprowadzało go do rozpaczy, bo nawet jemu, najsprawniejszemu psu gończemu ze sfory cara, nie udało się wpaść na pewny trop — skończy się nareszcie. Ten ślusarz musi wiedzieć wszystko. Żeby tylko wyśpiewał, zburzy się odrazu przeklęte gniazdo, tę bandę kretów, która wciąż jeszcze żyje pod

ziemią; świadczą o tym tu i owdzie znajdywane proklamacje i ten tak zręcznie inscenizowany strajk, a tego młodego w żaden sposób podejść nie można. Będzie gadał, czy będzie milczał?

Szarski spokojnie wytrzymał czyhające spojrzenie. Jakże pogardzał tą kanalją!

— Niewiele mam do powiedzenia. To, co powiedział ten człowiek, to prawda. Ja namówiłem robotników, moich towarzyrzy, do świętowania pierwszego Maja; ja zwołałem zebranie na „Wyspie"; kto na nim był, nie wiem i nic o tym nie powiem. Organizacja żadna nie istnieje, przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Broszury ja rozpowszechniałem. Skąd ja otrzymałem, nie powiem. Skończyłem. Niczego więcej się nie dowiecie.

Żandarm skoczył jak ukąszony przez węża.

Ten młokos bezczelny kpił sobie z niego. To może do wściekłości doprowadzić! Rzucił się ku więźniowi z pięścią na rękojeści szabli — ryczał, wymyślał, gotów był rozszarpać go na kawałki. Szarski pozostał zimny i spokojny; oczy jego miały znowu twardy błysk stali i wyraz drwiny. Nie drgnął nawet: — Gdyby mnie tknął, — zaduszę to bydlę — błysnęło mu przez myśl i dłonie zacisnęły się, aż paznokcie wpiły się w ciało.

Jeszcze kilka minut wściekał się zawiedziony w swych nadziejach siepacz. Wreszcie wyczerpany upadł na krzesło, nacisnął dzwonek i kazał wyprowadzić więźnia.

Znalazłszy się w celi, Szarski jeszcze przez kilka godzin biegał tam i zpowrotem wzburzony, jak tygrys w klatce. Myśli wirowały mu w głowie; nie mógł objąć sytuacji.

— Czyżby psy wiedziały już wszystko? Organizacja wsypała się? Może i drukarnię zwęszyli? Tę tajną drukarnię, o którą drżał, jak o skarb? Nie, to niemożliwe. Wściekłość tego bydlęcia przeczyła temu. Nie, napewno tak nie było. A co będzie z nim? Mniejsza o to. Dostanie 5 lat za podburzanie, ale nie dowiedzą się od niego te psy nic a nic. Prędzej język sobie wyrwie, nim cośkolwiek powie. A tamto bydlę, podły pies, wódką się schlał, tchórz ohydny — serce mu w pięty uciekło ze strachu. A on ufał takiemu łajdakowi, książki mu dawał, starał się go uświadomić. Jakże łatwo mógł go bardziej wciągnąć! Szczęście, że tak się nie stało, że wyszczekanie tego gagatka kazało

mu być ostrożnym. Kogóż teraz zdradza ten łajdak? Siebie samego. Wszakże jego to ciało, krew, o co walczy organizacja! Podłość, hańba, nikczemność!

Zasnął późno i dziś czuł się wyczerpany, wyżyłowany; tępy smutek opanował go: pozostało owo deprymujące wrażenie zdrady. Cóż będzie, jeżeli więcej takich łajdaków się znajdzie, jak ten Pawłowski? Wdeptać tak w błoto najświętsze, największe rzeczy! Być takim nędznikiem! Trudno pojąć!

A przecież tacy Pawłowscy zjawić się musieli i być muszą. Im większe masy ogarnia ruch, tym więcej takich Pawłowskich. Wszystko napróżno. Nic tu nie pomoże ostrożność ani konspiracja. Choćby najlepsi wszystko, co mają najlepszego, oddali, przyjdzie potym taki Pawłowski i wszystko pójdzie do djabła! I znów krążył nieborak po swej celi w najsroższej męce, jaką zna człowiek, gdy mu wąż zwiątpienia wpija się w serce.

Naraz pukanie do ściany z lewej. Siedział tam młody student za udział w demonstracji. Szarski zorjentował się wprędce, że nie jest to ich człowiek, ani taki, z którym możnaby mieć wspólne sprawy, ale uczciwy chłop. W tej chwili nie miał jednak ochoty rozmawiać. Mimo to słuchał. Tamten wypukiwał: I-d-ę n-a w-o-l-n-o-ś-ć. Potym spytał się, czy Szarski niema żadnych poleceń. Cóż miał odpowiedzieć? Wszystko było skończone. Nie miał już nikomu nic do powiedzenia. Było mu wszystko jedno. Odpukał: N-i-c.

Niczego już nie chciał, nic nie mógł. Wszystko było jednakowo obojętne. Tam, gdzie jest zdrada, podłość, tchórzostwo, tam się wszystko kończy. Ludzie nie są aniołami, ani bohaterami — wszystko jest kłamstwem, wszystko jest bezsensem.

Zazgrzytał nagle zamek we drzwiach celi, odchyliła się zasłona „judasza", przez który strażnik mógł obserwować więźnia, ciężkie żelazne rygle odsunięto, drzwi otworzyły się i wszedł żandarm: „Proszę za mną".

Cóż to znowu ma być? Nowe badanie? O, teraz jest właśnie w odpowiednim nastroju — niech mu teraz ten pies przed oczy stanie... Plunie mu w gębę, a potym niech go zatłuką. Tak byłoby najlepiej.

Szarski wyszedł z celi: żandarm i strażnik wzięli go zaraz pomiędzy siebie. Żandarm wyciągnął pałasz, odwiódł kurek rewolweru, żołnierz trzymał również broń w pogotowiu. Szarski za każdym razem uśmiechał się, widząc ile to gwałtownych przygotowań się czyni, aby strzec jednego bezbronnego człowieka. Szli wzdłuż nieskończenie długich korytarzy; wszędzie drzwi do cel i co kilka kroków uzbrojony żandarm na straży. Wszędzie siedzieli tu szaleńcy, którzy, tak jak i on, życie swoje rzucali na szaniec, aby ich potym taki Pawłowski wydawał pod nóż.

Cóż to? nie na badanie go widać prowadzą? Żandarm zmierza do pokoju „widzeń". Prawda! Jakże mógł zapomnieć! Wszakże dziś jest dzień widzeń — dziś przychodzi jego „narzeczona".

Osobliwa to była historja z tą narzeczoną. W kilka tygodni po uwięzieniu otrzymał list, który zaczynał się od słów: „Ukochany mój Karolu", a kończył się słowami: „Twoja gorąco cię kochająca Wanda Zaborska". W liście donoszono mu, że pisząca te słowa otrzymała pozwolenie pisywania do niego i widywania się z nim. Nie znał jednakże żadnej Wandy; dopiero kiedy zaczął nad tym rozmyślać, zrozumiał całą historję: ponieważ nie miał krewnych, więc towarzysze wpadli na taki pomysł, aby mu zapewnić widzenia. W ten sposób Szarski, który miał głowę zawsze zaprzątniętą bynajmniej nie miłostkami, ale całkiem innemi sprawami i kobietami interesował się mało — znalazł się nagle w posiadaniu narzeczonej. Odtąd przychodziła co 2 tygodnie, zaopatrywała go w bieliznę, przynosiła „wałówki" i gawędziła z nim.

Wpuszczono go do pokoju „widzeń". Pokój ten był rozdzielony podwójną kratą na dwie części. Po jednej stronie stał Szarski, pośrodku pomiędzy kratami, oddzielonemi o trzy kroki jedna od drugiej — żołnierz z gołym bagnetem — po drugiej stronie wreszcie Wanda i żandarm. W ten sposób mogli sobie powiedzieć kilka słów, na które żandarm zwracał baczną uwagę. Niezbyt to było przyjemnie prowadzić tak przez kraty nic nie mówiące rozmowy, a jednak trudno byłoby mu teraz wyrzec się tych widzeń. Stały mu się drogie, droższe, niżby to chciał przyznać.

Teraz Wanda i oficer zbliżyli się do kraty. Wanda uśmiechnęła się do Szarskiego. Cóż to był za uśmiech! Był jak promień słońca. Lekkiemi kroki, wysmukła i zgrabna w swojej prostej czarnej sukni, podeszła aż do samej kraty, jaknajbliżej. Przycisnęła do żelaznych prętów piękną głowę o gładko zaczesanych włosach i przejrzystych głębokich błękitnych oczach. Zaczęła zwykłą pogawędkę: Jak się czuje? Czy jest zdrów? Czy nie potrzebuje czego? Niech tylko jej powie, ona wszystko załatwi. Pieniądze przecież ma. Czy śledzie były dobre? Prawda, że w więzieniu czuje się potrzebę czegoś ostrzejszego — to pobudza apetyt, szczególnie, jeżeli się tak mało ruchu używa. Czy nie jest mu zimno? Przyniesie mu jeszcze jedną wełnianą kołdrę, panowie pozwolą, prawda? — Spojrzała przytym na oficera, co rozzłościło Szarskiego. Zauważył bowiem, że ten osioł pożądliwemi oczyma ogarnia ładną dziewczynę.

Nie, on ma wszystko, czego mu potrzeba, nie chce jej żadnego kłopotu sprawiać; wdzięczny jej jest za to, że przychodzi, więcej niczego nie pragnie.

O, to głupstwo, drobnostka! Dziś przyniosła coś nie coś: trochę szynki, kilka jabłek i... bo to dziś przecież Sylwester — także butelkę wina. Musi je wypić za jej zdrowie; i ona trąci się z nim w duchu — chce z nim wypić za prędkie jego uwolnienie.

Śliczna była w tej chwili! I ten uśmiech! Jakże jej był mocno wdzięczny! Nie wiedział co mówić, nie umiał prowadzić wesołych rozmów — zawsze obawiał się, że ją skompromituje. Ją, bohaterkę, która tu wchodziła lwu w paszczę, aby jemu, obcemu człowiekowi, dodać otuchy swym słonecznym uśmiechem. Padłby na kolana i całował kraj jej sukni. Tak, prawda, dziś był Sylwester. Byłby zapomniał, choć paznokciem wyrył na ścianie rodzaj kalendarza i w ten sposób wiedział, jaki jest dzień. Sylwester! Życzy jej więc prawdziwie wesołego nowego roku! Niechaj jej szczęście przyniesie! Niechaj jej stokrotnie wynagrodzi jej dobroć dla niego!

Oficer dał znak, że kwadrans upłynął i widzenie skończone. Odeszła: co za elastyczny krok, jaki wdzięk w jej postaci! Teraz odwróciła jeszcze głowę i zawołała: „Ach, prawda, pilnuj mi

dobrze koszyczka, muszę go dostać zpowrotem”. Rzuciła mu poważne, ostre spojrzenie, niedostrzeżone przez oficera, do którego stała tyłem. Teraz była przy drzwiach. Jeszcze jeden uśmiech, jeszcze jeden promień słońca i zniknęła.

Szarskiego odprowadzono do celi. Jakże inaczej tu teraz było! Jak jasno! Czy słońce świeciło tak jasno, czy też błękitne oczy tyle światła po sobie zostawiły?

Przyniesiono mu koszyczek, który poddano przedtym rewizji w obawie, że może zawiera bombę lub armatę. Szarski udawał obojętnego, ale skoro tylko pozostał sam, zabrał się doń spiesznie. Coś musiało oznaczać jej spojrzenie, coś w tym koszyczku jest. Wyjął z niego wszystko i obracał na wszystkie strony. Koszyczek przepleciony był haftowaną wstążką; obmácał ją starannie. Jest! Coś tam szeleści. Stanął w ten sposób, że strażnik nie mógł przez judasza go obserwować. Wstążka była podwójna. Spiesznie rozerwał nitkę — wypadła karteczka, malutki, złożony kawałek papieru, gęsto pokryty cyframi. Chciwie złapał Szarski ten skarb, który przynosił mu wieści ze świata, z wolności. Rzucił się na łóżko, odwrócił twarzą do ściany i udawał, że śpi. Mozolnie odcyfrowywał list. Trudne to było zadanie w tych warunkach, jednakże udało się. Kartka donosiła: „Pawłowski zaaresztowany. Będzie pewnie sypał. Pilnuj się. Tam, gdzie mógł cośkolwiek wiedzieć, postaraliśmy się zatrzeć ślady. Wielkiego niebezpieczeństwa niema. Organizacja i drukarnia bezpieczne. Ruch szerzy się. Na prowincji powstają nowe organizacje. W Zagłębiu ruch rośnie. W Łodzi strajk tkaczy zwyciężył. Nie trać otuchy. Wanda”.

Szarski nie posiadał się z radości. A więc wiedzieli, co się stało, więc robota szła dalej, więc wszystko idzie naprzód, naprzód, naprzód! Zerwał się i biegał po celi. Chciało mu się krzyczeć, śpiewać, cieszyć się. Nic nie było stracone! Cóż z tego, że jego życie było złamane? Cóż z tego, że wśród tysięcy znalazł się jeden, który się stoczył w błoto, jak tamten tchórz? Jakimże głupcem był on sam, że mógł na chwilę choć stracić wiarę! Wszakże ruch proletarjatu jest czymś tak wielkim, tak olbrzymim, że upadek jednego nie może go nawet dotknąć! Naprzód! naprzód! Naprzód! Słowo to huczało mu w uszach,

porywało go, i tu w tej celi czuł się tak wielkim, tak dumnym, tak szczęśliwym! Wszakże i jego cząstka była w tym, że wszystko szło naprzód, naprzód!

I znów biegał tam i napowrót, cichaczem oglądając swój skarb — maleńką karteczkę. U dołu były dwie cyfry, które oznaczały „Wanda". To była ona. Ta, która narażała swą wolność, która miała odwagę przynieść mu takie wieści, ona, ta bohaterka, ten promień słońca, ten kwiat przedziwny... Darzył ją pieszczotliwemi nazwy bez miary, klękał przed nią w duchu... „Wanda" i „naprzód" grało mu w sercu tysiącem tonów... I oba te słowa zlewały się i oba przepełniały mu duszę.

Przypomniał sobie sąsiada studenta, który dziś szedł na wolność. Podbiegł do ściany i wypukał: Powiedźcie towarzyszom jedno słowo: „Naprzód".

Jakże prędko płynęły dziś godziny! Było już późno. Lampa, która w więzieniu pali się przez całą noc, aby strażnik mógł obserwować więźnia, rzucała blade światło. Szarski był podniecony; próbował czytać, ale myśli uciekały daleko. Poprosił, aby mu otworzono zakratowane okno; chciał słyszeć noworoczne dzwony. Siedział więc i nadsłuchiwał, kiedy rozlegnie się dźwięk dzwonów. I oto zaczęły dzwonić: śpiewnie, tryumfalnie biły dźwięki w niebo... Nowy Rok! Nowy rok walki, nowy okres w dążeniu do zwycięstwa, do zwycięstwa...

Więzień stał przy oknie, wsłuchany w chór dzwonów. Oczyma duszy widział, jak proletarjat, nosiciel największych idei ludzkości, idzie naprzód, wciąż naprzód: masy, masy nieobjęte szły naprzeciw światłu. Jeżeli jeden upadnie — cóż stąd? Reszta pójdzie naprzód.

Nalał sobie wina, które przyniosła mu ona, Wanda, i trącił się w myśli z nią, z Wandą. Za Nowy Rok, za zwycięstwo! W potężnych akordach płynęły dźwięki dzwonów: do zwycięstwa, do zwycięstwa!

PRZED PIERWSZYM MAJEM W WARSZAWIE *)

— No, teraz jazda!

— Nareszcie, nareszcie! Ale teraz żywo, już i tak jest strasznie późno.

Słowa te zostały wymienione w małej, niskiej izdebce, gdzie dwaj ludzie krzątali się około dziwnej maszynerji, trochę podobnej do warsztatu tkackiego, a trochę do magla. W rzeczywistości była to prasa drukarska własnej roboty. Do piękności było jej daleko, i maszyna, uwidoczniona na drukach zacnego Jodokusa Badiusa w 1500 r., była wobec niej prawdziwym dziełem sztuki; ale miała ona tę zaletę, że po użyciu można było ją rozebrać, i po usunięciu „zacu" **) sam djabeł by się nie domyślił, do czego miały służyć sztaby i walce. Już niejedna odezwa socjalistów polskich została od biedy odbita na tym narzędziu, teraz zaś szło znowu o zrobienie odezwy.

Oprócz dwuch drukarzy, z których jeden był właściwie białoskórnikiem, a drugi — stolarzem, był tu jeszcze ktoś trzeci, widocznie student, i on to ciągle naglił do pośpiechu. Niespokojnie chodził po pokoju i gryzł nerwowo papierosa.

W pewnej chwili włożył czapkę i wyszedł. Wyszedł z domu, z małej, nędznej chałupy, na jednej z najodleglejszych ulic przedmieścia w Warszawie. Obszedł dookoła dom, sprawdził, czy z okna po przez szczelnie zamknięte okiennice i firanki nie wymyka się jakiś promyczek światła i poszedł w dół po ulicy. Miasto leżało przed nim w ciszy. W oddali świeciły latarnie na moście przez Wisłę. Po drugiej stronie rzeki wznosiła się mroczna masa — Cytadela warszawska, mieszcząca w swych murach setki więźniów politycznych. Z tej strony ciągnął się brzeg, porosły wierzbami i wystawiony na każdy wylew. Wzdłuż rzeki paliły się światła nabrzeżne.

---

*) Napisane przez autora po niemiecku (*Red.*).

**) *Zac* — złożony w drukarni z czcionek tekst (*Red.*).

Nasz student przez parę chwil stał na rogu i przyglądał się panoramie, przed nim się rozciągającej, potym wyjął zegarek i zapuścił się w boczną uliczkę. Zatrzymał się przy wielkim domu i trzy razy zapukał do ciemnego okna na parterze. W pokoju było ciemno i tylko głowa ludzka pokazała się przez szybę.

— Wacław?

— Tak, to ja, bądźcie gotowi, za dwie godziny przyniosę pierwszą porcję. Teraz dwunasta, więc o drugiej niech dwuch czeka przy moście na prawo w wierzbinie. Ilu was jest?

— Tu jest sześciu: w obu kwaterach jest ośmiu. Ale niech was djabli z waszą guzdraniną. Nie zdążymy przecież, wasza maszyna rotacyjna przez całą noc nie odbije więcej niż tysiąc.

— Milcz i nie złość mnie jeszcze bardziej. My i tak się wściekamy. Znowu coś się zepsuło.

— No no, tylko nie przejmuj się, jeśli nie będzie więcej jak pięćset, to też niema nieszczęścia. Każdą odezwę czyta kilkadziesiąt osób, a broszura jest znakomicie rozpowszechniona. We wszystkich fabrykach pocichu o tym gadają. No, jutro będzie uciecha. Majstrowi nalepię odezwę na grzbiecie. No, teraz umykaj. A czy nasze gutenbergi mają tam czym zmoczyć gardło? Zabierz no kropelkę, dobra sznapa, ta ci i odpędzi sen i sprowadzi sen, jak kto chce.

— Że też wy ani kroku bez wódki. Ja też potrafię noce przepracować, a nie piję.

— Eh, taki przecywilizowany facecik jak ty nie powinien pić, ciebie i kieliszeczek zwali. Napewno masz w kieszeni jakąś inną trutkę, jakąś książczynę, którą odpędzasz sen. Pewno jakiś zwarjowany Nitsze, albo matematyczna książka o wielkościach, które nie są wielkościami, bo nie istnieją. Bzika macie wszyscy.

— Zamilknij, co ty tam o tym wiesz!

— Cicho Pytagorasie, smaruj zpowrotem. Muszę jeszcze naszykować klajstru dla moich chłopców. Ruszaj.

Student wziął niechętnie podaną flaszkę i poszedł.

Na najbliższej ulicy spotkał patrol: stójkowego i dwuch kozaków na koniach z długiemi pikami i nieuniknionemi nahajami. Małe koniki szły z pochylonemi głowami jak senne.

kozacy też jakby drzemali w kulbakach. Wacław przez chwilę się wahał, czy ma przycisnąć się do ściany czy iść dalej. Zdecydowawszy się szybko, przyłożył flaszkę do ust, udał, że pije i poszedł zataczając się dalej. Mijając go, stójkowy mruknął coś o „pijanej świni” i poszedł dalej, nie zwracając uwagi na samotnego przechodnia.

Wacław skręcił w najbliższą przecznicę i spotkał się z robotnikiem, który z blaszanką w dłoni, z zasmoloną twarzą, szedł ciężkim krokiem. Był to widocznie jakiś późno powracający gazownik. Mijając Wacława, szepnął: „Wszystko w porządku, nic podejrzanego”. Wacław kiwnął mu głową i pośpieszył do „tajnika”. Jeszcze raz okrążył domek, słuchał pilnie pod oknem: nie było słychać absolutnie nic. Drukarze dobrze się spisywali. Pogwizdując umówioną melodję, wszedł do domu.

Kilkanaście egzemplarzy leżało na stole. Wyglądały niezbyt ładnie, mniej więcej jak odbitka szczotkowa, ale były czytelne i osiągały swój cel.

W czasie, gdy Wacław czytał, jeden z drukarzy przyglądał się swemu dziełu.

— Co, dobrze? Lepiej niż w zeszłym roku! Już jak my białoskórnicy do czegoś się zabierzemy, to robimy na glanc!

Z dumą powrócił do roboty i obaj pilnie a bez szmeru pracowali dalej. Student kręcił się nerwowo po izbie, w końcu usiadł przy stole, wyciągnął z kieszeni książkę i arkusz papieru, otworzył książkę i zajął się czytaniem i notowaniem. Książka, którą się orzeźwiał, traktowała rzeczywiście o „teorji wielkości urojonych”.

Po półgodzinie nagle rozległ się turkot kół. Pracujący zerwali się jak zelektryzowani, pobladli — to żandarmi! Trwało to tylko pół minuty, ale dość długo, by i najodważniejszemu zmrozić krew w żyłach. Wiedzieli przecież dobrze, że w razie „wsypy” mieli zapewnione lata więzienia i Syberji — a skądby się wziął o tej porze wóz na tej ulicy? Nie ulegało wątpliwości, że to żandarmerja, ktoś ich zdradził. Przez chwilę jeszcze może przemknęła im przez głowę myśl o ratunku: rozrzucić maszynę, uciec. Ale natychmiast zrozumieli, że było zapóźno. Jeśli tra-

fiono na ich ślad, to nie było ratunku, byli osaczeni, a czcionek, papieru, farby drukarskiej nie można już było ukryć. Wszystko było skończone.

Turkot wozu wciąż się zbliżał, wozu, który ich zawiezie do więzienia, na którym ostatni raz przejadą się po ulicach Warszawy. Teraz staje. Nie, jedzie o parę domów dalej. Teraz staje. Woźnica pewno się pomylił. — Jeszcze jedna minuta udręki. Wszystko pozostaje spokojne. Trzej wymieniają po raz pierwszy spojrzenia.

— To nic — rzekł Wacław głosem drżącym z przejęcia. — W każdym razie jeśli się pomylili, możemy jeszcze umknąć. Pamiętajcie umowę, wychodźcie.

W jednej chwili zgaszono lampę, i trzej znikli w ciemności. Obaj drukarze uciekli w pole, tylko Wacław wyszedł na ulicę. Odzyskał swą sprężystość, i, spokojnie nucąc, poszedł w kierunku, w którym pojechał wóz. Była to dorożka, stała dalej. Natychmiast przeszedł koło niego robotnik z blaszanką.

— To nic, — rzekł prędko mijając go. — Doktór. Widocznie do położnicy.

Wacław odetchnął. — Bęben wybrał sobie ładną chwilę, — pomyślał — mógłby też czekać do 1 maja. Potym wrócił z pośpiechem przez domek na podwórze i — zaszczekał, jak najprawdziwszy pies, krótko i urywanie. W jednej chwili obaj drukarze przeleźli przez płot na podwórze i wszyscy wrócili do izby.

— Ale ty umiesz szczekać! Słuchaj, wszystkie psy się odzywają, ale żaden nie umie tak jak ty. Co się stało?

Wacław wytłumaczył i zrobił się wielki śmiech.

— No, to na uspokojenie i za zdrowie nowego obywatela pociągnijmy sobie dobry łyk, — zaproponował białoskórnik. — Psiakrew, to mieliśmy stracha. No, ale teraz do roboty.

Wkrótce praca znowu zawrzała i po małej chwili gotowa była pierwsza paczka. — Wacław wpakował ją pod palto i poszedł. Punktualnie o drugiej był na moście, skrył się w krzaki. Na ciche gwizdnięcie ukazało się dwuch ludzi, którym oddał odezwy. Uścisk dłoni — i ludzie się rozstali bez słowa, może na zawsze. Wacław poszedł znów do drukarni, dwaj poszli rozlepiać odezwy.

Rozlepianie jest równie niebezpieczne jak drukowanie i wymaga bardzo zimnej krwi, ostrożności i zręczności. Dwaj pośpieszyli na drugi brzeg, podążyli do jednej z dzielnic robotniczych i zaczęli robotę. Jeszcze przed świtem zrobili swoje, na rogach, na bramach fabrycznych bielały nalepki.

Jeszcze jedną odezwę mieli w ręku.

— Słuchajno, — rzekł jeden, młode chłopię o świeżej, filuternej twarzy — ostatnią nakleimy tam, gdzie stoi zamiatacz.

Przeszli więc koło zaspanego zamiatacza i najspokojniej nalepili odezwę na ścianie.

— Co tam robicie? — spytał zamiatacz.

— Umiecie czytać?

— Nie.

— To szkoda, samibyście wiedzieli, o co chodzi. Rozporządzenie gubernatora. Cesarz chce wojować z turkami, i naród ma pierwszego maja nie pracować, jeno świętować. Zrozumieliście?

Z tępej gęby starego było widać, że nic nie rozumie.

— Uważajcie więc, żeby każdy ten papier czytał i nikt go nie zerwał choćby i policja. My tu jesteśmy wprost od gubernatora. Oto dokument.

Wyciągnął jakiś urzędowy świstek ze stemplem i pieczęcią. To zaimponowało staremu; zdjął czapkę i przyrzekł zrobić jak mu kazano. — Obaj posłańcy gubernatora pośpiesznie się wycofali i gdy tylko zeszli z oczu staremu, parsknęli śmiechem.

Tymczasem robota w tajniaku szła galopem. Kilka jeszcze razy Wacław wychodził i następne transporty odchodziły równie szybko jak pierwszy. Część rozlepiano, część oddawano trzymanym w pogotowiu towarzyszom, którzy je rozpowszechniali po fabrykach i warsztatach. Tam odezwy wkładano do szaf ubraniowych, kładziono na ścianach i wogóle rozpowszechniano na wszelkie sposoby.

30 kwietnia piekło było w komendanturze żandarmerji, która odpowiadała przed „batiuszką” za ład i porządek. Z samego rana po rogach ulic, szczególnie w dzielnicach robotniczych, zbierały się kupy ludzi, i zanim policja zdążyła zdrapać

odezwy, już je przeczytano, a kto przeczytał, rozpowiadał na prawo i lewo, co w nich było. Wkrótce zaczęli przychodzić wylęknieni fabrykanci i majstrowie, z odezwami w ręku, aby wedle obowiązku zameldować, że wszędzie po fabrykach ktoś buntuje robotników. Gienerał żandarmerji klął na czym świat stoi, pułkownik był blady jak trup, oficerowie, wcześniej niż zwykle wyrwani z łóżek, potracili głowy. Z górą sypały się gromy: wydawano sprzeczne rozkazy i nikt nie wiedział, co robić. Tymczasem za Wisłą drukarze, po zatarciu śladów swojej pracy nocnej, uścisnęli sobie dłonie i poszli do codziennej pracy.

Pracująca Warszawa dnia tego mówiła tylko o święcie majowym, o międzynarodowym święcie robotniczym. Jedni po raz pierwszy słyszeli o myśli, propagowanej w odezwie socjalistycznej, inni, doświadczeńsi, już brali udział w strajku majowym; jeszcze inni czytali broszurę o tym, opowiadali jej treść albo dawali ją do przeczytania zaufanym. Jeszcze inni przyznawali się otwarcie do socjalizmu i znajdowali uważnych słuchaczy.

Wielka idea wyzwalająca znalazła dostęp do tysięcy głów i serc robotniczych.

Wzeszło promienne słońce pierwszego maja i uśmiechało się do dzieci przyszłości. W wielu fabrykach daremnie wołały do pracy dzwonki i wyły buczki. Tysiące niewolników nie chciały dziś pracować, tysiące żywych machin roboczych poczuły się ludźmi, pozostały spokojnie w domu, poszły za miasto, by się nacieszyć radosną przyrodą. Tysiące mężnych czuły mocniejsze bicie serca na myśl, że stoją w jednym szeregu z miljonami bojowników o dobro pracujących i wydziedziczonych.

LISTY Z JAPONJI

Czyta, 4/XI 21.

...Wyjechaliśmy z Moskwy 22 października i jechaliśmy, nie zatrzymując się nigdzie, prócz Irkucka. Dojechaliśmy do Czyty 2 listopada. Zważywszy, że odmachaliśmy 8.200 wiorst, podróżowaliśmy szybko. Warunki wygodne, gdyż mamy wagon 1-ej klasy. Bieda tylko, że światło marne: elektryczne urządzenie nie działa, więc palimy świece, a ponieważ w podróży musiałem przestudjować olbrzymi materjał, noc zaś w Syberji teraz długa, więc dawało się to we znaki. Widzieliśmy Syberję tylko z okien wagonu. Do Irkucka ciekawego mało, rozłogi puste bez końca; na widnokręgu lasy, lecz wzdłuż toru lasy wyrąbane, marne, smutne; krajobraz przypomina rosyjski (Moskwa—Piter). Ludność ciekawa. W porównaniu z rosyjską tęższa: prawie wyłącznie rosłe, dorodne postacie. Nędzy mniej, niż w Rosji. Po drodze spotykaliśmy na stacjach wychodźców z głodnych okręgów nadwołżańskich. Straszna nędza. A pomimo to — dzieciaki wesołe, rozigrane! Strasznie wytrzymałe to zwierzę ludzkie!

Od Irkucka zaczyna się imponująco piękny kraj. Okrążaliśmy jezioro Bajkalskie. Nawet z okien wagonu cudne. Dokoła góry wysokie, skaliste, typu alpejskiego. W ten dzień już nic nie robiłem, tylko patrzyłem. Marzyły się Tatry. Teraz siedzimy w mieście Czyta. Mieszkamy w wagonie. Przypominają się Mikaszewicze *). Klimat tu dziwny: we dnie ciepło zupełnie, w nocy mróz tęgi; niebo szafirowe, ani chmurki, śnieg tu bywa bardzo rzadko. Czyta jest miastem stołecznym (Republiki Dalekiego Wschodu). Państwo to demokratyczne, nie „socjalistyczne"; jest parlament, ministerja i cała szopa burżuazyjna, lecz rządzą po-

*) W Mikaszewiczach jesienią 1919 r. prowadził J. Marchlewski pierwsze pertraktacje z Polską (*Red.*).

mimo to komuniści, jako najliczniejsza partja. Wszystko niby dobrze, tylko pieniędzy niema! Burżuje bogaci, a państwo biedne. Stosunki z RSFSR oczywiście jaknajlepsze. Białogwardziści przegrali z kretesem.

Zadanie polega na tym, by urządzić to państwo. Istnieje ono od roku (do tego czasu trwał zamęt, walka zacięta z białemi). Widoki na przyszłość są, ale warunki ciężkie. Kraj co do rozmiaru większy, niż Niemcy i Francja razem wzięte, a ludności — 2 miljony. Z tą siłą ludzką uporać się z warunkami trudno. Bogactwa — to lasy, ryby, pastwiska; dla rolnictwa warunki ciężkie.

Na kraj ten ostrzą zęby sąsiedzi — japończycy, a prócz tego amerykanie. Japończycy dotąd okupują pobrzeże oceanu. Zadanie polega na tym, by wysiudać ich stąd. Pertraktują oni z ową Republiką Dalekiego Wschodu, lecz z Rosją niby chcą gadać, niby nie chcą. Tymczasem północne wybrzeże (od Amuru ku północy, Kamczatka, etc.) należy do RSFSR, a japończycy łowią tam ryby (bez tych połowów nie wyżywi się ludność), więc na tle tych spraw toczy się polityka. Zobaczymy tedy co z tego wyniknie. Narazie więc siedzę w Czycie i czekam. Jak długo? Nie wiadomo!

Czyta, 27/XI. 21.

...Wciąż jeszcze w wagonie 2522 na stacji Czyta w prowincji Transbajkalskiej, a raczej obecnie w demokratycznej „Republice Dalekiego Wschodu". Niebawem jednak, może jutro, ruszam dalej. Via Charbin do Dajrenu (dawniej rosyjskie miasto —Dalnij). Sławetne to miasto zbudował rząd carski na ziemi zrabowanej Chinom, a po wojnie 1904—1905 musiał je ustąpić japończykom. To jest — są to finezy dyplomatyczne: rząd carski swój rabunek ukrył pod parawanikiem dzierżawy, a po wojnie ową „dzierżawę" ustąpił Japonji. Po co jadę? Toczą się rokowania pomiędzy ową RDW a Japonją, ale są też sprawy związane z Rosją Sowiecką, więc mam brać w tych rokowaniach udział. Czy zostanę na Wschodzie? Nie wiadomo jeszcze. Lecz w każdym razie, gdyby mi wyznaczono takie stanowisko, będę domagał się, żeby najpierw wrócić do Moskwy. Stamtąd wolałbym

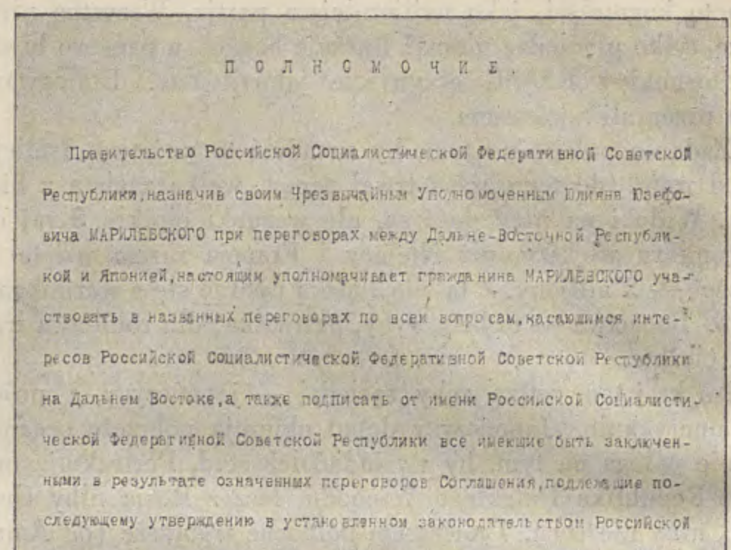

П О Л Н О М О Ч И Е.

Правительство Российской Социалистической Федеративной Советской Республики, назначив своим Чрезвычайным Уполномоченным Юлиана Юзефовича МАРИЛЕБСКОГО при переговорах между Дальне-Восточной Республикой и Японией, настоящим уполномачивает гражданина МАРИЛЕБСКОГО участвовать в названных переговорах по всем вопросам, касающимся интересов Российской Социалистической Федеративной Советской Республики на Дальнем Востоке, а также подписать от имени Российской Социалистической Федеративной Советской Республики все имеющие быть заключенными в результате означенных переговоров Соглашения, подлежащие последующему утверждению в установленном законодательством Российской Республики порядке.

Учинено в Москве 18 Октября 1921 года.

ПРЕДСЕДАТЕЛЬ СОВЕТА
НАРОДНЫХ КОМИССАРОВ

НАРОДНЫЙ КОМИССАР
ПО ИНОСТРАННЫМ ДЕЛАМ

Занесено в I-ую книгу протоколов под № 43

Fotografja pełnomocnictwa, wydanego J. B. Marchlewskiemu na prowadzenie układów pomiędzy rządem radzieckim a Japonją, a podpisanego przez Lenina i Czyczerina.

(Oryginał znajduje się w instytucie Lenina).

jechać morzem: Hamburg, albo jeszcze lepiej Neapol (tam zawijają statki idące na Wschód), Suez, dokoła Indji, do Szangchaju, poczym do Pekinu.

Tu w owej sławetnej Czycie bryndza nielada. Są co prawda i wcale ciekawe rzeczy. Przedewszystkim ludzkie mrowisko swoiste. Rosjanie tutejsi grubo się różnią od moskiewskich. Fizycznie tęgi lud, dorodny, jednocześnie rzutcy, energiczni, przedsiębiorczy. Poza rosjanami dużo tu chińczyków, którzy dzierżą w swych łapach cały handel drobny, a w części i hurtowy. Jest to „emigracja zarobkowa": przybywają bez żon, czasowo, zbiorą nieco grosiwa i wracają. Przedstawiają się ciekawie. Przeważnie ludzie młodzi, dużo wśród nich postaci dorodnych; wzrost wysoki, wysmukli; w twarzach kolosalna rozmaitość: bywają potwornie brzydcy, to znów wcale przystojni, typu mongolskiego. Są to przybysze przeważnie z północnych dzielnic Chin: z Mandżurji, Czyli itp. Więc o „prawdziwych" chińczykach, południowych pojęcia nie dają. Są weseli i uprzejmi, ale — jak to kupcy — złodziej na złodzieju siedzi.

Dalej — mongoło-burjaci. Poczęści autochtoni tutejszego kraju. Dotąd znaczna ich część wiedzie żywot napoły koczowniczy (główny dobytek — stada bydła), lecz część już zamienia się w osiadłych rolników. Fizycznie przedstawiają typ mongolski, lecz znać sporą domieszkę rosyjską. Ponieważ ta różnorodna czereda ubiera się „narodowo", więc ulice, a zwłaszcza plac targowy, przedstawiają ciekawy widok. Woli rosjanin: „dochę", walenki, „papachę", albo kożuch; bajeczny kożuch! ze skór kozich, włosem do góry; niby jakiś zwierz kosmaty. Kroczy burjat: „chałat", tj. długa sukmana granatowa, pod spodem kożuchem podszyta; na nogach „nuty": obuwie ze skóry końskiej z włosem na wierzchu; na głowie „kołpak" — czapka w formie stożka, z wierzchołka zwisają sznurki czerwone, a gdy z szykiem, to ów chałat wyszywany z krajów pstrokato i pas pstrokaty. Chińczyk: cały watowany, portki z „kitajki" (materjał bawełniany świecący), podbite watą, chałat także z „kitajki", zapina się z boku; na głowie czapka futrzana lub kapelusz filcowy. Taki kitajec zawsze się śpieszy. Często dźwiga nosze: na kiju bambusowym, przerzuconym przez plecy, niesie skrzy-

nie jedną z tyłu, drugą z przodu; gdy dojdzie na miejsce, postawi owe skrzynie na ziemi, wyciąga z nich deski składane, rozłoży je na skrzyniach, wydobywa towar, i kram gotów.

Miasto horendalne! Niby miasto, niby wieś. Ulice nie brukowane, a grunt piaszczysty; brnie się po tym piachu po same kostki. Oczywiście w ustach, oczach, uszach pełno piachu. Klimat tu dziwny: górski (miasto leży na wysokości około 750 metrów, prawie Zakopane), lecz anormalnie suchy. Śniegu prawie nie bywa; powietrze przejrzyste, suche; niebo stale bez najmniejszego zachmurzenia. Temperatura obecnie waha się w nocy od — 25° do — 30°, lecz dochodzi do — 40°, w południe zgoła ciepło w słońcu. Lecz ponieważ wiatry są bardzo rzadkie, znosi się mróz łatwo; ostre zmiany temperatury wprawdzie dają się we znaki nieprzyjemnie.

Układ życia nie sowiecki: kwitnie handel, można więc kupić wszystko. Lecz jest pewna anomalja: jeden to z rzadkich krajów, gdzie zgoła niema papierowych pieniędzy; obiega tylko moneta. Przytym moneta ceni się według metalu: złoto liczy się trzy razy wyżej, niż moneta srebrna zdawkowa i o $1,_2$ razy wyżej, niż srebrne ruble. Więc 10 złotych = 30 rb. drobnemi = 12 rb. grubych srebrnych. Drożyzna przytym spora. „Sowieckie" nie kursują. Za 1.000 rubli dają 20 kop. drobnym srebrem. Nas, to jest mnie i „mój personel", zaopatrzono w złoto.

Życiowe sprawy też ciekawe: mleko kupuje się tu — w kawałach! Przywożą na targ mleko zamrożone w kawałkach, jak je wyjęto z dzieży czy z garnka. Mięsa sporo, ale dosyć drogie, zato zwierzyna tania: kuropatwy 20 kop. drobnemi, jarząbki 30 kop., zając rubla, gęś — rubla itp. Mnóstwo też ryb i to świetnych: szczupak, sandacz, karp i różne inne. Kraj futer, więc na targu myśliwi rosjanie i burjaci sprzedają skórki lisie, kunie, a głównie „popielice" (po niemiecku: Fee). Jest to skórka wiewiórki, lecz wiewiórka tu szara z czarnym ogonem. Powiadają, że będzie niebawem bardzo tania, gdyż na Amurze „wiewiórka wędruje latoś". Chodzi o to, że niekiedy owe zwierzątka (z przyczyn dokładnie dotąd nie zbadanych) puszczają się na wędrówkę; idą tedy po lasach nieprzebrane, miljonowe masy,

przeprawiają się przez rzeki, prą jak fala, zbitą masą. Oczywiście zabijają ich wtedy moc.

Przy swoich zajęciach chciałbym, żebyś uwzględniła *angielski*. Gdyby się złożyło tak, że będziemy na Wschodzie, jest to sprawa olbrzymiej wagi, gdyż zarówno w Chinach, jak w Japonji dominuje angielszczyzna. Nie zawadzi też, gdy poznasz trochę literatury o Wschodzie, zwłaszcza historycznej i gieograficznej. Za Standard work *) uważam dotąd dzieło Richthofena (China). Jest tego dobrego 5 tomów, lecz ponoć już od trzeciego tomu zaczyna się część specjalnie gieologiczno-gieograficzna, więc starczy przeczytać pierwsze dwa. Dzieło to nie nowe, ale niezmiernie cenne.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

...Postanowiłem pisać dziennik podróży i posyłać ci go. Wprawdzie nie wiem, czy dojdzie zamiar do skutku, lecz zaczynam. Więc:

Byrka, stacja kolei Wschodnio-Chińskiej (od Irkucka wiorst 1245), 30 listopada 1921 roku.

We wtorek 28/XI postanowiłem jechać do Dajrenu. Trochę ryzykowne, albowiem sytuacja taka: japończycy oświadczyli, że z Rosją Sowiecką będą pertraktować dopiero wtedy, gdy już będzie zawarty traktat z Republiką Dalekiego Wschodu, lecz zgadzają się na mój przyjazd jako „obywatela prywatnego". Była pewna trudność: mam tylko paszport dyplomatyczny, którego w danych warunkach użyć nie można. Tedy rząd Republiki D. W. wystawił mi paszport, że jestem obywatelem RSFSR i jadę do Japonji. Trochę to przeczy prawidłom paszportowym, by obcy rząd dawał paszport, lecz innej rady nie było. Ponieważ trzeba jechać przez terytorjum chińskie (Mandżurję), trzeba było wizy konsula chińskiego. Jest taki w Czycie i zawizował. Natomiast nie mam wizy japońskiej, bowiem konsula japońskie-

*) Wzorowe dzieło (*Red.*).

go w Czycie niema. Jest w Charbinie. Trzeba jechać tam. Czy da wizę, to jeszcze kwestja. Ryzyk fizyk — jadę. Bronka ma paszport współpracowniczki misji RDW, dyplomatyczny, więc kłopotów z tym nie będzie. Dano wagon z salonikiem. Prócz mnie jadą: kurjer dyplomatyczny RDW, jego pomocnik, Bronka i ja. Wagon przyczepiono do pociągu towarowo-pasażerskiego. Takie pociągi nazywają się tu „Maksym Gorkij", Maksym — dlatego, że wielki (dużo wagonów), Gorkij — dlatego, że jechać nim — gorzko. W rzeczy samej — spieszymy z szybkością dwunastu wiorst na godzinę. Ponieważ odległość od Czyty do granicy chińskiej (stacja Mandżurja) wynosi wiorst 446, powinnibyśmy jechać półtory doby. Będziemy jechać dłużej. Bo oto: za stacją Ołowiannaja urwało się pół pociągu, pierwsza część pojechała sobie, a druga część z naszym wagonem została w szczerym polu; na następnej stacji zorjentowano się; parowóz po paru godzinach wrócił i zabrał nas, ale że przy tej okazji parowóz biedaczysko nadwyrężył się i zabrakło mu paliwa, więc wrócił na stację Ołowiannaja i dopiero gdy wrócił, ruszyliśmy. Strata czasu wynosi w cyfrach dwanaście godzin — ha — „jedziesz na Wschód, uzbrajaj się w cierpliwość".

Droga ciekawa; jakieś 100 wiorst za Czytą poczynają się góry — odnoga pasma Jabłonowa. Tor kunsztownie przeprowadzony; miejscami idzie wężownicą, jak droga górska. Podłoże „granitowe", góry prawie gołe, bez zadrzewienia. Wypadł był śnieg (cieniutka warstwa), a niebo niezmącenie błękitne, więc widok prześliczny. Przebywszy góry, jesteśmy na płaskowzgórzu mongolskim. Struktura jego w tym miejscu dziwna: same kółka! Ciągną się bowiem pagórki koliste. Koło pagórków z średnicą na kilkadziesiąt wiorst, za nim drugie i tak dalej. Tedy mamy wciąż na horyzoncie „góry" i wciąż śnieg i iskrzące niebo. Mróz spory. W wagonie przecież ciepło i „wszelkie wygody": samowar, jadło, spanie jakie takie. Ale jadą z nami ludziska w „tiepłuszkach"; jadą niektórzy już od zachodniej granicy Syberji i są w drodze po parę tygodni! Pytam, jak się czują: „Niczewo". Djablo wytrzymały naród.

Kraj, po którym jedziemy, zamieszkują mongoło-burjaci. Rolnictwa tu niema. Siedzib ludzkich nie widać. Jedynie przy

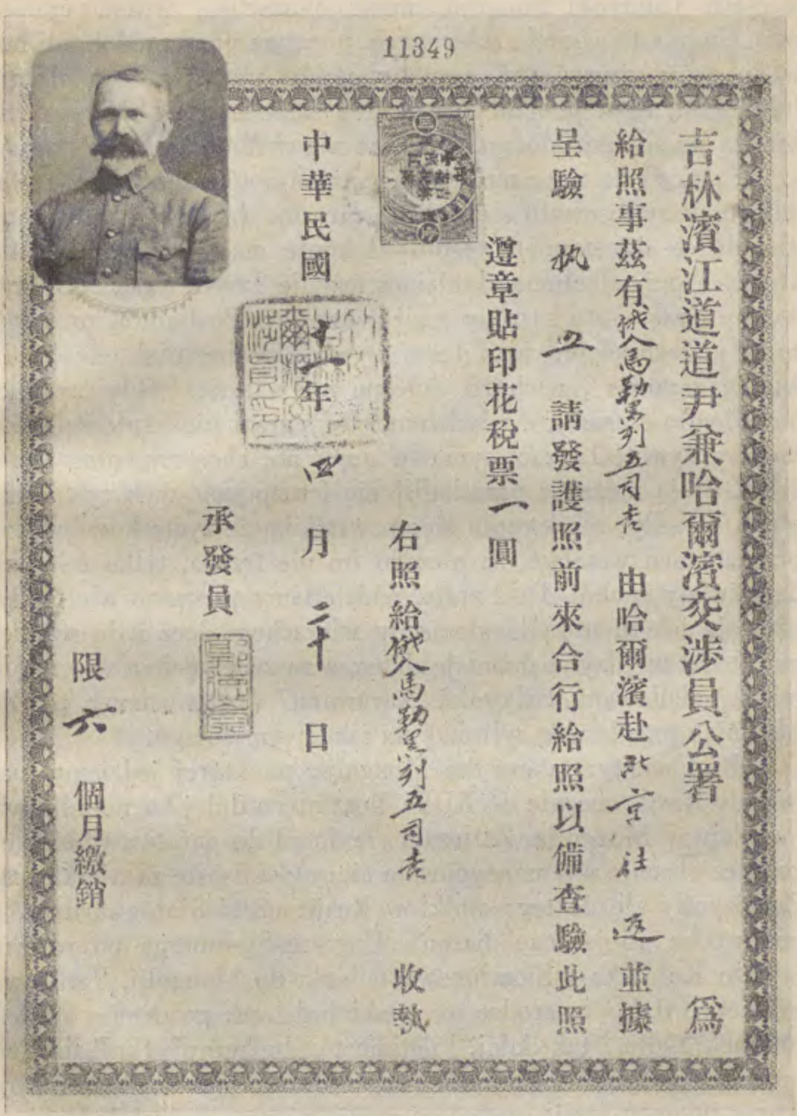

11349

吉林濱江道道尹兼哈爾濱交涉員公署　為

給照事茲有俄人馬勒黑列五司克　由哈爾濱赴北京往返　並據

呈驗執照　請發護照前來合行給照以備查驗此照

遵章貼印花稅票一圓

右照給俄人馬勒黑列五司克　收執

中華民國十一年四月二十日

承發員

限六個月繳銷

Fotografja japońskiego paszportu J. B. Marchlewskiego.

stacjach (budynki kolejowe wcale porządne) widać czasem parę chałup dziwacznie skleconych, pozatym pustka. Mongoli bowiem swoje „jurty" (namioty z wojłoku) ustawiają poodal; nie lubią siedzieć w pobliżu toru. Tylko stada bydła i tabuny koni brodzą po śniegu. Mongoli bowiem nie chronią bydła w budynkach; przez całą zimę musi ono wygrzebywać sobie paszę z pod śniegu. Przystosowało się ono do mrozów (a bywają mrozy tęgie, do — 40 stopni). Krowy i konie mają sierść kudłatą, która chroni od zimna. Ludziom też nie łatwo: kraj bezleśny; jedyny opał — to suszony gnój zwierzęcy. Powiadają przecież, że w jurtach ciepło jako tako. Bywa przecież niekiedy bieda wielka: „purga", wichura śnieżna nie żartuje. Gdy zadmie, mrze bydło czasami, a i ludziom wtedy grozi niebezpieczeństwo. Surowy żywot! Lecz ci synowie stepu nie chcą zmieniać trybu życia. Mają możność przesiedlić się i rozpocząć tryb życia rolniczy, osiadły; nie kwapią się; powiadają, że życie koczownicze przy stadach weselsze, że niczego im nie trzeba, tylko żeby im dali święty spokój. Dziś zrana widzieliśmy pierwsze wielbłądy, używają ich tu nietylko do jazdy wierzchem, lecz i do zaprzęgu: siedzi między garbami jeździec, a za zwierzęciem wlecze się wózek naładowany. Szła taka „karawana" (sztuk osiem), przedstawiając przedziwną sylwetkę na iskrzącym śniegu.

Problematy: ta cząstka Mongolji, po której jedziemy, należy do Rosji, obecnie do RDW. Lecz nieco dalej ku południowi „właściwa" Mongolja. Zaliczała się dotąd do państwa Chińskiego, lecz obecnie wyemancypowała się: ogłosiła się za niezależną. Przyczyniły się do tego walki w Rosji: część białogwardzistów pod wodzą niejakiego barona Ungiern-Sternberga po rozgromieniu Kołczaka i Siemionowa uciekła do Mongolji. Tam owe żołdactwo dało się srodze we znaki ludziom: gwałcenie kobiet, rabunek bydła i tak dalej. Pomimo to „tuchtuny" (kniaziowie) popierali rabusiów. Ludność przyzwała na pomoc bolszewików i przy pomocy armji czerwonej rozgromiono „białych". Ungierna wzięto do niewoli i rozstrzelano w Irkucku. Wtedy mongoli zabrali się do swoich „tuchtunów", powypędzali ich, oświadczyli, że „jassaku" (daniny) Chinom więcej płacić nie będą, i ogłosili swoją niezależność. Pojechała delegacja do Moskwy.

Przyjęto ich życzliwie, obiecano pomoc, uznana niezależność. Mamy tedy bratnią Republikę Ludową Mongolji. Czy pogodzą się z tym faktem Chiny? Dotąd panowanie Chin polegało jedynie na tym, że dygnitarze chińscy okradali mongołów: „tuchtuny" musieli dawać sute „podarunki" przy każdej okazji, a mogli je dawać tylko łupiąc lud. Wojskowej potęgi Mongolja nie przysparzała Chinom. Ponieważ bowiem mongoli nienawidzą chińczyków, władze chińskie bały się uzbrajać ich. „Jassak" był prawie fikcją: podatków (prócz owych „podarków") prawie że nie zbierano. Owi dygnitarze zapewne niechętnie wyrzekną się panowania, ale — mongoli mogą na zawołanie ruszyć w 40.000 koni, a lud bitny. Dla armji chińskiej tedy „uśmierzenie buntowników" byłoby zadaniem zbyt trudnym. Tymbardziej, że — jeżeli nie dadzą spokoju Mongolji, to — może zbuntować się Mandżurja, gdzie chińczyków nie bardzo też lubią. Więc — podyplomatyzują pewnie chińczycy i dadzą za wygraną.

Lecz dalsze losy owej Republiki? — Nam europejczykom zdaje się, że to „dzicz". Głupi jesteśmy w tych sprawach. Są znawcy Mongolji, którzy twierdzą, że kultura samoistna mongołów, przystosowana do warunków bytu, ma w sobie zadatki rozwoju. Istotnie: spotykałem w Czycie „inteligientów" burjato-mongołów (członków Sejmu), którzy czynili wrażenie bardzo dodatnie. — Czy Rosja Sowiecka będzie w stanie owej bratniej Republice dopomóc, by te możliwości rozwoju urzeczywistniły się? Voilà *)—problemat. Bądźmy dobrej wiary! Tymczasem zostaje fakt: rewolucja rosyjska rozhuśtała i tę cząstkę Azji.

Minęliśmy stację Hada-Bułak. Zostaje do Mandżurji 152 wiorsty. A jest godzina pierwsza po południu. Maleńki problemacik: czy będziemy tam w nocy, czy dopiero nad ranem? Pisanie nie całkiem łatwe: wagonik nasz trzęsie niemiłosiernie; więc będziesz miała trudność w odcyfrowaniu. No, ale nie koniecznie potrzebujesz czytać, co piszę z nudów.

*) Voilà — oto (*Red.*).

1/XII 21.

Ładny kwiat: jeszcze jesteśmy w drodze! Stoimy w szczerym polu, gdyż parowóz nie mógł nas dociągnąć; poszedł z częścią pociągu. Zato cuda dokoła: słońce wzeszło w nadzwyczajnym majestacie. Wszystko iskrzy się dokoła. Lecz mróz siarczysty, pewnie jakie — 30 st.

Stacja Maciejewska. Coś zgoła po polsku. Pewnie jaki inżynie polak brał udział w budowie kolei. Odbywa się jakaś kontrola papierów. Sporo pasażerów przejeżdża granicę. Handel kwitnie, a pewnie jeszcze bardziej — kontrabanda. Dojechaliśmy szczęśliwie do stacji Mandżurja (graniczna na terytorjum chińskiej). Jechaliśmy 2½ doby! Na dobrą sprawę taką odległość w Europie przejeżdża się w jakie 6 godzin. No trudno!

Na owej stacji chińskiej zjawia się pierwszy urzędnik chiński. Zobaczywszy mój paszport, pyta doskonałą polszczyzną: „Czy pan profesor nie z Krakowa?" Powiadam: „Nie, to mój brat". — „Właśnie uderzyło mię podobieństwo. Byłem studentem krakowskiego uniwersytetu". — Rzuca ot ludźmi! Wprawdzie z tym chińskim urzędem sprawa osobliwa: zarząd ceł jest w rękach mocarstw europejskich. One inkasują cła (jak również podatki) i dochody idą na pokrycie długów chińskich. Ów rodak jest tedy na służbie „międzynarodowej". Na stacji różni urzędnicy chińscy, już nie międzynarodowi, obeszli się z nami dosyć grzecznie. Wiza paszportu itp. wszystko odbyło się bardzo gładko. Na stacji kręcą się żołnierze chińscy. Mundury podobne nieco do niemieckich, ale teraz, na zimę, grubo watowane! Pomimo to wyglądają nie najgorzej. Twarze wcale inteligientne. Posiedzimy tu do jutra rana. Lecz ponieważ jest okazja, wysyłam ten pierwszy list-dziennik. Kiedy pójdzie drugi, nie wiem. Może będę mógł wysłać z Charbina, może dopiero z Dajrenu.

3/XII 21. Charbin.

...Na stacji Mandżurja przesiedzieliśmy dobę. Miasto to mieszane rosyjsko-chińskie. Zrana wyjechaliśmy. Wagon towarzystwa międzynarodowego, wszelkie wygody, restauracja, po-

rządna pościel i tak dalej. Jechaliśmy do Charbina dobę. Krajobraz nie wiele się zmienił. To samo płaskowzgórze z pagórkami kolistemi. Różnica tylko ta, że niekiedy widać drzewa, przeważnie sosny, lasu ani śladu. Przejeżdżaliśmy łańcuch gór — Chau-Czin, lecz była noc. Zrzadka widać domostwa — „fanzy" chińskie. Domy lepione z gliny, obejście zwykle otoczone płotem plecionym lub wałem ziemnym. Ludność przeważnie chińska. Lecz zdaje się, że to tylko w pobliżu kolei, gdyż po stepie koczują i tu szczepy mongolskie. Rdzenną ludność stanowią „mańdżu", pochodzenia tunguskiego, którzy niegdyś zawojowali Chiny i osadzili w Pekinie swoją dynastję. Lecz ponoć z nich mało zostało: stali się szczepem panującym, z nich cesarze brali urzędników i wojaków dziesiątkami tysięcy i rozsyłali po całym państwie olbrzymim. Kraj tedy wyludniał się, a na miejsce „mandżu" przybywali mongoli i chińczycy. Podobno w kraju jest już sporo rolników osiadłych, lecz w tej części Mandżurji, którą przejeżdżaliśmy, nie znać tego: step surowy, w którym koczują nieliczni hodowcy trzód.

Charbin jest centrum handlowym sporego znaczenia. Leży nad rzeką Sungari; rzeka wspaniała, o żegludze obecnie świadczą — statki parowe, które tuż pod miastem zamarzły pośrodku rzeki! Azjatycka gospodarka. Mamy jakąś przykrą przygodę: ciężka skrzynia z pieniędzmi ściąga na siebie uwagę urzędników celnych. Wprawdzie są dokumenty, jest pieczęć dyplomatyczna, lecz jeszcze czegoś chcą. Kurjer dyplomatyczny już od trzech godzin ceremonjuje się z temi dobrodziejami, a my tymczasem siedzimy na stacji i czekamy... Ciekawe, że budynek stacyjny wybudowano całkiem „modern", mógłby doskonale stać w jakim średnim mieście niemieckim. Uderza czystość. Snać urząd kolejowy rosyjski wziął tu mocno w karby chińczyków. Zmieniło się jednakże od czasu rewolucji sporo: opowiadają przynajmniej, że dawniej chińczyków do pierwszej i drugiej klasy i do wagonu jadalnego za nic nie puszczano, a teraz są wszędzie. Chińczycy z ludu bardzo są mili. Snać bardzo ich interesujemy. Zwłaszcza budzi ciekawość lornetka Bronki. Już paru podchodziło i prosiło, by pozwoliła im spojrzeć przez te szkiełka. Poczym z uprzejmym uśmiechem dziękowali. Widzie-

liśmy parę kobiet chińskich o nogach spaczonych i japonkę — o ruchach wytwornych.

Po drobnych awanturach wyjeżdżamy dziś rano do Dajrenu.

Dajren, 5/XII 21.

...A więc — jesteśmy na miejscu. Ostatni list pisałem z Charbinu. Przebywaliśmy tam dobę w domu przedstawiciela Republiki Dalekiego Wschodu, niejakiego t. Ozarnina. Ciekawy dosyć typ: były oficer wychowany w korpusie kadeckim. Zostały mu narowy oficerskie, co wypowiada się w sposobie prowadzenia roboty. Pobyt nasz był dosyć przyjemny. Rozstaliśmy się, z t. O. po przyjacielsku. Ponieważ okazało się, że wożenie gotówki jest zgoła zbyteczne, gdyż w Charbinie są porządnie funkcjonujące banki, zostawiłem ową gotówkę, nabyłem czek, za który mi będą tu wypłacali w miarę żądania, zostawiłem też jednego kurjera, który dotąd pilnował skarbu. Jechaliśmy tedy samotrzeć: Bronka, jako współpracowniczka RDW, kurjer dymplomatyczny, a zarazem tłumacz i ja.

Na granicy Czań-Szuń spotkał nas jakiś rosjanin będący na służbie japońskiej, przejrzał papiery i ulotnił się. Zabawne było spotkanie z jakimś typem, który ofiarował swoje usługi przy przenoszeniu bagażu, kupnie biletu i tak dalej. Właściwie był zgoła zbyteczny, gdyż bagaż nosili tragarze, bilety załatwiał „boy" wagonu sypialnego; ów pan odgrywa rolę faktora, który „ziemlakam" usługuje za napiwek. W wagonie usługa japońska i urządzenie japońskie. „Boy's" nadzwyczajni w swojej usłużliwości: nie trzeba nic mówić, czyhają by usłużyć: wyjmiesz papierosa — już zapałka zapalona; zdejmujesz palto — już je wziął, pomimo że tu go wcale nie było; wchodzisz do wagonu jadalnego — już nakrył na trzy osoby i wskazuje miejsce. A na ustach wciąż uśmiech uprzejmy. Wychodzimy po kolacji — już przygotowana pościel, a przy posłaniu — pantofle i „kimono", czy jak się tam nazywa taki szlafrok męski: szata obszarna z płótna wzorzystego, oryginalnego kroju. Czystość w wagonie idealna. Obiad i kolacja na sposób pół japoński, pół europejski: mnóstwo dań, coś około tuzina, zato porcje minjaturowe. Ze specja-

łów wschodnich jadłem tylko „pędy bambusowe" (młodziutkie pędy z krzewu bambusów, smakuje coś jak szparagi) i gruszki japońskie, twarde bardzo, lecz pomimo to soczyste i bardzo aromatyczne. No, a ze znanych nam w Europie — mandarynki wspaniałe. Pasażerowie przeważnie japończycy. Na widok obcokrajowców starają się być zgoła europejczykami i nabierają pewnej sztywności; gdy sądzą, że się ich nie obserwuje, trochę inaczej się zachowują: siedzą w kucki i pozbywają się części ubrania europejskiego. Formy nadzwyczajne: gdy się wita dwu takich dżentlemanów, kłaniają się sobie „w pas" — dosłownie biorąc. Ta grzeczność nieco przykrzy się: wychowanie... no dobrze, ale, do djaska, przecież maska wieczna znudzić się musi. Były i niewiasty japońskie. U tych owa tresura ma rezultat przynajmniej ten, że przyprawia je o rzeczywisty, czarujący wdzięk: każdy ruch jest śliczny. Owe „kimono" z pasem na plecach dziwnie spowitym jest niewątpliwie ładne i oko odrazu przyzwyczaja się, snać „styl" jest doskonale wytrzymany, przestał być „modą".

Krajobraz koło Charbina był jeszcze zgoła stepowy. Dopiero gdyśmy zbudzili się następnego rana, znaleźliśmy się w kraju starannie uprawnym: pola obecnie, oczywiście, puste, lecz zorane w bruzdy idealnie proste. Gdzieniegdzie sterczą badyle. Mandżurja jest krajem uprawy przedewszystkim bobu („koaljanu"), którego stąd wywożą masy do Europy, jako paszę dla bydła. Prócz tego sporo sadów. Budowle typu chińskiego: „fanza" każda otoczona wałem ziemnym, a niekiedy parkanem z sitowia lub chróstu. Pod samym Dajrenem krajobraz pagórkowaty: wzgórza o podłożu ponoć gnejsowym, lecz głównie składają się z gliny. Woda w tej glinie żłobi głębokie urwiste koryta, co przy żółto-czerwonej barwie gliny nadaje wzgórzom tym dziwnie fantastyczny widok. Ludność prawie wyłącznie chińska.

W Dajrenie stanęliśmy narazie w hotelu: Yamato Hotel, należącym do kompanji kolejowej. „Szyk" hotelowy kosmopolityczny, lecz usługa japońska, „boys" i „girls" tak samo usłużni, jak w wagonie.

Udaliśmy się zrana do „misji dyplomatycznej RDW". Przewodniczącym delegacji jest lekarz, niejaki Pietrow. Sprawy

stoją wcale nienajgorzej i otrzymałem wrażenie, że z tej mąki może chleb będzie. Mieści się misja w domu prywatnym. Pobudowali tu japończycy domy nawpół japońskie, nawpół europejskie. Popołudniu złożył mi wizytę pan pomocnik policmajstra miejscowego. Przyszedł z tłumaczem, który mówi jako-tako po rosyjsku. Obaj bardzo ugrzecznieni, lecz pan polikus nie

Yamato Hotel w Dajrenie, w którym odbywały się rokowania.

bardzo dobrze wychowany. Wstęp do rozmowy był zgoła oryginalny: policja poczuwa się do obowiązku ochraniania mego drogocennego życia, przeto on chce się poznać ze mną, by mógł czuwać nademną. Akcentowałem, że jestem przecież narazie osobą prywatną i nie sądzę, bym mógł wzbudzać specjalną uwagę urzędów. Odparł, że wie doskonale o mojej roli, że otrzymał rozkaz z Tokjo, by nie stało się nic, co by mogło wzbudzić moje niezadowolenie. Potym szła rozmowa o pogodzie, o podróży mojej itd. W końcu zgoła nieoczekiwana propozycja: grono prywatne japończyków, którzy bardzo interesują się Rosją, prosi uprzejmie, abym im wygłosił odczyt o Rosji, gdyż dotąd otrzymują informacje zgoła nieautentyczne. Oświadczyłem, że z wielką przyjemnością zapoznałbym się z przedstawicielami społeczeń-

stwa japońskiego, lecz pragnę uniknąć wszystkiego, coby złośliwi wrogowie mogli wytłumaczyć jako propagandę; przeto proszę o parę dni namysłu. Wcale ciekawy to sposobik: oczywiście, nic a nic nie zależy im na moich informacjach, lecz chcą „raskusit' mienia", poznać mój sposób rozumowania etc. Prawdopodobnie zgodzę się jednak na propozycję i odegram komedję „objektywnego informatora".

Dajren, 12/XII. 21.

...Posłałem ci stąd list-dziennik Nr. 2. Teraz opowiem ci o wrażeniach pierwszych dni. Ludzie, z któremi mam doczynienia, tj. „delegacja Republiki Dalekiego Wschodu", są to rosjanie z Dalekiego Wschodu. Na czele stoi lekarz Pietrow, „dusza człowiek". Wśród współpracowników jest paru sympatycznych młodzieńców, i paru „speców". Z oficjalnemi przedstawicielami Japonji nie miałem jeszcze styczności; jestem wciąż jeszcze „prywatnym obywatelem". Oni odwłuczą obecnie pertraktacje, nam też się nie bardzo śpieszy. Więc ciągnie się „dyplomatyczna gra w ciuciubabkę". Mam tedy nadmiar wolnego czasu. Narazie mieszkam w hotelu. Zdaje się pisałem pokrótce o tym hotelu. Zewnętrzny komfort nie pozostawia nic do życzenia. Mam wspaniały pokój po europejsku umeblowany, jedzenie do obrzydliwości obfite: z rana „Breakfast", w południe „Lunch", pod wieczór „Dinner". Za każdym razem po 16 potraw do wyboru! Usługi do djabła i trochę. Przy stole staje dziewczyna za krzesłem. Japoneczka w kimono z pasem szerokim, ułożonym na plecach w ogromną kokardę. Jest to „musme" (t. z. dziewczyna) albo „amana" (dosłownie — niańka). Gdy się zwrócisz do niej, ma nieodmiennie uprzejmy uśmiech na twarzy. Czyha na każde skinienie. Porozumienie dosyć trudne, gdyż te „musme" umieją wprawdzie parę słów po angielsku (niektóre udają, że umieją po rosyjsku, lecz poza „zdrawstwujtie", „pożałujsta" i „doswidanja" nie bardzo im idzie); a że znów moja angielszczyzna nie tęga, więc więcej na migi się porozumiewamy. Na szczęście w jadłospisie potrawy są numerowane, więc wystarcza wskazanie numeru. Niekiedy jednakże wychodzą nieporozumienia, i wtedy śmiejemy się do siebie i jakoś układa się wszystko.

Ceny wprawdzie są bardzo słone: za pokój z utrzymaniem płacę 15,50 jen. Gdyby to przetłumaczyć na „sowieckie", wypadnie, że wydaję dziennie około miljona, lecz i na niemieckie marki suma nielada: jena = ½ dolara amerykańskiego, a dolar ponoć obecnie w Berlinie wynosi 100 mrk. więc wydatkuję 775 mrk. za wikt i mieszkanie! Ponieważ jednak zaopatrzono mnie w jeny, więc niema rachunków astronomicznych. „Delegacja RDW" wynajęła mieszkanie prywatne, przyczym trafiło im się mieszkanie z meblami europejskiemi, lecz to przypadek; znaleźć drugie takie nie uda się pewnie, a mieszkać po japońsku trudno (to znaczy zgoła bez mebli, siedzieć w kucki i spać na matach z wałeczkiem zamiast poduszki pod głowę). Więc trzeba będzie zostać w hotelu.

Miasto — jak wspomniałem — napoły europejskie, napoły japońskie. Handel w rękach japończyków. Sklepy po większej części małe. Siedzi handlarz na podniesieniu na matach, a nabywcy wybierają towar i targują się z nim, stojąc nieco niżej (na maty wchodzi się bez obuwia). Drzwi i okna składają się z cienkich desek, pomiędzy któremi rozpięto papier. Gdy pogoda pozwala, wszystko otwarte na oścież. Główny targ odbywa się wieczorem i wtedy uliczki handlowe toną w świetle lampionów papierowych. Wszystko gada, uliczni przekupnie wykrzykują swój towar, dzwonią, biją w bębny. Widok tedy arcyciekawy. Natomiast towar dziwnie gałgański, tandeta obrzydliwa! Dotąd nie widziałem żadnej absolutnie rzeczy wytwornej. Zdaje się, że japoński przemysł idzie narazie za wzorem niemieckim z przed lat 50-ciu „Billig aber schlecht" *). Lecz owe „billig" tu w Dajrenie szwankuje: drożyzna wściekła. Podobno tłumaczy się to tym, że japończycy muszą się przystosowywać do tutejszych warunków klimatycznych, wskutek czego życie kosztuje ich o wiele drożej, niż w Japonji, muszą to odbijać na towarach (*N.B.* Klimat. Pomimo, że to wybrzeże morskie, klimat tu zimą suchy, niebo przeważnie jasne; temperatura powiedziałbym średnio-europejska — pomimo że co do szerokości gieograficznej jesteśmy na wysokości południowych Włoch;

*) Tanie a marne (*Red.*).

o tej porze bywają mrozy po kilka stopni. Ponieważ jednak tym mrozom towarzyszy wiatr, dają się dosyć we znaki). W każdym razie mam rozczarowanie pod tym względem, że owych ślicznych wyrobów japońskich nie widać tu zgoła. Tkaniny liche, naczynia fajansowe i porcelanowe ordynarne, papier gałgański, laki nieszczególne, słowem — paskuctwo wszystko. Podobno na Dalekim Wschodzie ustalona już jest opinja, że Japonja tylko tandetę wyrabia.

Zrobiliśmy wycieczkę na wybrzeże morskie. Przypomniała się — Abacja! Sam brzeg urwisty bardzo, morze seledynowe, a barwa skał czerwonawo-brunatna przeważnie. W rzeczy samej przeważa bazalt. Lecz musiały się tu dziać straszne ongi rzeczy: wulkaniczny to teren! są płaty zdawna zastygłej i zwietrzałej lawy, są bazalty, lecz są też gnejsy i wapienie, a wszystko to dziko poszarpane, łamane. Od strony lądu połogie zbocza, od strony morza urwisto, a w pewnej odległości mnóstwo wysypek minjaturowych skalistych. Próbowałem swych sił taterniczych: jeszcze mnie nogi noszą! Były „galeryjki", „ławki", „kominy", i „przewieszki", wszystko niebardzo groźne, gdyż niebardzo wysokie; chodziłem dosyć swobodnie. Natomiast Bronka miała pecha: została na dole z Pietrowem i nie zauważyli, jak z przypływem morza woda im drogę odcięła. Musiał ich rybak chiński w łodzi ratować.

A teraz o ludziach nieco: rdzenna ludność — chińczycy, zapanowali nad niemi japończycy (panują tu od 1905 r., zabrawszy rosjanom półwysep Liaotun z Port-Arturem i Dajrenem; rosjanie „wydzierżawili" ten obszar od chińczyków, japończycy tedy są obecnie „dzierżawcami", lecz oczywiście gospodarują tu na całego). Panowanie to surowe: traktują chińczyków jak niewolników, a ci podobno pałają ku nim wściekłą nienawiścią. Według relacji ludzi, którzy mogą znać kraj, stosunek jest taki, że w Dajrenie wprawdzie japończycy gospodarują swobodnie, lecz w głębi kraju chińscy kupcy bojkotują ich z wielkim skutkiem. Z opowieści naszej delegacji wiem tylko tyle: trzymają służbę chińską, gdy posyłają boya po zakupy, zawsze pójdzie do sklepu chińskiego, choćby miał drogę znacznie dalszą, niż do japońskiego. Rolnicza imigracja nie udała

się stanowczo japończykom (przyznaje to oficjalna statystyka). To ostatnie ponoć decyduje na przyszłość, gdyż — sądzę — trafną zgoła jest maksyma: „czyj pług, tego kraj". Pług jest chiński i w przyszłości kraj będzie chińskim. Rezultat tedy byłby taki: rosjanie wybudowali kolej żelazną, wznieśli kosztowne fortyfikacje w Port-Artur, poczęli budowę portu handlowego w Dajrenie; japończycy im to wydarli siłą oręża, włożyli z kolei dużo: zakończyli budowę portu, pobudowali odnogi kolei żelaznej etc. i — w końcu dziedzicem tego wszystkiego okażą się chińczycy! — Tymczasem wszakże chińczycy są parjasami, których wyzyskują japończycy: wszystkie ciężkie roboty wykonywują chińczycy; oni są tragarzami w porcie, oni wykonywują roboty ziemne, których prowadzi się narazie moc (miasto na wzgórzach, więc, ulice przeprowadzać trudno), oni są woźnicami, oni ciągną „ryksze", oni wożą ciężary itd. Są wprawdzie w Dajrenie burżuje chińscy, lecz narazie politycznie są pozbawieni praw, fagasują japończykom. — Los owych „kuli" chińskich jest straszny. Gnieździ się to mrowie ludzkie w obrzydliwych konurach, żywi się marnie, a pracuje dużo. Płace otrzymują niskie, a z tych groszy zabierają im część pokaźną różni pośrednicy i obdzierają ich policjanci i różni urzędnicy japońscy (ku memu zdziwieniu dowiaduję się, że wśród tej biurokracji japońskiej panuje straszna korupcja).

Zewnętrznie japończycy są rasą brzydką. Przeważnie są wzrostu małego i pokraczni. Zwłaszcza burżuje, którzy ubierają się po europejsku, chodzą po świecie jak żywe karykatury. Co nie przeszkadza, że są bardzo tęgiemi macherami, okazują wybitne zdolności we wszystkich kierunkach. Lud inaczej się przedstawia: ubierają się w swoje stylowe szaty (uroczysty strój przypomina polski! Pod spodem szata długa opasana pasem barwnym — żupan; powierzch „kimono", szata również długa z rękawami szerokiemi, zwisającemi — kontusz z wylotami! Tylko zamiast butów palonych — pantofle lub szczudełka). Niewiasty — przeważnie brzydkie. Dotąd widziałem zaledwie parę japonek, przypominających entuzjastyczne opisy Lotty i Lofkadjo Harn. Ogromna większość ma rysy grube, zęby brzydkie, ruchy niezręczne, figury niekształtne. Strój pamiętasz za-

pewne z obrazków: barwne kimono z pasem, który z tyłu tworzy wielką kokardę. Wytworność ruchów, o którym z takim zachwytem mówią różni znawcy, snać trzeba obserwować tam, gdzie japonka jest w swoim otoczeniu, w mieszkaniu swym. Na ulicy raczej zachowuje się niezgrabnie. Owe szczudełka (deseczka przywiązana do stopy, ma u dołu dwa drewienka o grubości jakichś 5-ciu centymetrów, w razie błota noszą wyższe) nadają im chód brzydki, kaczy, a jednocześnie drepczący, a przytym

Japońsko-chińska ulica Oyama-dori w Dajrenie.

chodzą stale nie wyprostowując nóg. Ozdobą są włosy: bez wyjątku kruczo czarne i lśniące i — uśmiech. Włosy układają w sztuczną fryzurę, zaczesując w górę, tak że czoło zawsze jest odsłonięte. Ręce i stopy przeważnie niebardzo kształtne. Wybieram się zobaczyć „giejsze". Giejszę przyrównać można do naszej „szansonetki": śpiewa, deklamuje, tańczy. Można ją zobaczyć w „herbaciarni", albo też zapraszają gejsze do domów prywatnych, gdzie bawią gości. Okazuje się wszakże, że są trudności: do herbaciarni lub do teatru japońskiego trzeba bowiem wchodzić bez obuwia, trzeba siedzieć przytym w kucki. Na ulicy bardzo często widuje się japonki dźwigające dzieci na plecach. Chodzą wtedy oczywiście zgarbione mocno, co przy drepczącym chodzie czyni wrażenie dosyć przykre. Bobasy siedzą jak w wor-

ku, spowite w ów pas, widać tylko główkę, która kręci się w rozmaite strony, wychylając się zza głowy matki czy niańki.

Chińczycy zgoła inni. Nie wiem dlaczego nieuki europejskie tak ich spotwarzają (we wszystkich niemal opisach, prócz bardzo poważnych, naprzykład, Richthofena, opisują ich karykaturalnie), gdyż już z tutejszych wrażeń sądząc — a są tu w anormalnych warunkach — śliczna to rasa. Chadzam niekiedy do portu; tam wre praca chińskich kuli. Ogromną większość stanowią ludzie rośli, wysmukli. Mnóstwo jest postaci „Meunierowskich". W pracy i w odpoczynku mają prześliczne pozy. Przy pracy odziani są w krótkie spencery (w obecnej porze watowane przeważnie) i spodnie. Przeważnie odzież z płótna farbowanego na granatowo. Na głowach zawiązują chusty, które zależnie od pracy rozmaicie układają (gdy dźwigają np. na plecach worki — chusta okrywa kark, gdy ciągną taczki, chusta zawiązana w rogi sterczące nad czołem). Gdy nie pracują, noszą szaty długie, chałaty oryginalnego kroju: chałat opina ciało ciasno do pasa, a niżej jest rozdzielony, lecz nie z przodu, a z boków. Obuwie przenajrozmaitsze: często widuje się — kierpce, najautentyczniejsze kierpce, tj. gruba skóra zwinięta w kształcie trzewika dokoła stopy. Tylko, że kierpce chińskie staranniej bodaj są zrobione od góralskich. Pozatym sandały i pantofle przeróżnych kształtów i z różnych materjałów: filcowe, odznaczające się tym, że mają podeszew bardzo grubą i krótszą znacznie od stopy, skórzane, sukienne, futrzane i — słomiane. Warkocz tu jest dosyć pospolity. Przytym bywalcy opowiadają, że w Chinach po rewolucji warkocz znika, a tu nie. Tłumaczą to tym, że japończycy popierają reakcjonistów chińskich, prześladują reformatorów, zaś warkocz jest oznaką reakcji. Niewiasty widuje się na ulicy rzadziej. Dla nas europejczyków powstaje pewne pomieszanie pojęć: chińczyka na ulicy widzi się przeważnie w szacie długiej, chinkę — w krótkiej. Nosi ona kaftan i spodnie obcisłe. Przykre są owe stopy skarłowaciałe: chodzi niewiasta na kopytkach małych, trójkątnych. Oczywiście wpływa to na jej chód: stawia nogi sztywno, po bocianiemu i oko nieprzyzwyczajone ma wrażenie, że trudno jej utrzymać równowagę. Powiadają, że barbarzyński zwyczaj kaleczenia nóg zanika,

lecz tu tego nie znać: nie widziałem ani jednej niewiasty chińskiej o normalnych stopach, a i dziewczęta małe mają owe stopy-kopytka. Prawie wszystkie chinki, które dotąd widziałem, są bardzo brzydkie z twarzy. Inaczej mężczyźni. Zdarzają się potwornie brzydkie, niemal małpie twarze, ale daleko więcej wręcz pięknych. Rysy wyraziste, często jak w kamieniu kute, cera ciemno śniada, oczy błyszczące. Oczywiście zdarza się wiele twarzy mongolskich, a więc oczy skośne, lecz to nie znaczy wcale, że wszyscy chińczycy są tego typu, raczej powiedziałbym przeciwnie. Przynajmniej tu, gdzie snać są przybysze z najrozmaitszych dzielnic Chin, typ wybitnie mongolski nie dominuje. Owe brzydoty przeważnie są bardzo ciekawe: jakieś typy malajskie, inni przypominają eskimosów. Za to są typy — powtarzam — wręcz piękne. Przytym śliczne mają ruchy. Gdy ciągnie się sznur wozów, zaprzężonych w muły (wozy ciężkie dwukołowe, muły zaprzężone jeden w ohłoblach, drugi przed nim) a obok kroczą woźnice, jest na co patrzeć: chodzą prześlicznie, znać w nich siłę ogromną i zręczność.

Porozumiewać się oczywiście trudno. Postanowiłem mówić w sklepach i z dorożkarzami chińskiemi — poprostu po polsku! On gada po swojemu, ja po swojemu i rozumiemy się! Dorożkarze tutejsi to naród strasznie zabawny. Gdy zobaczą europejczyka, stają się natrętni: idziesz trotuarem, a on jedzie krok w krok za tobą i szwargocze bez ustanku. Więc ja do niego: „nie trzeba, odczep się", on śmieje się, stara się powtórzyć, co mu się nie udaje. W końcu siadam niekiedy. Wtedy, nie pytając dokąd, zacina konia i jedzie. Trącam go w plecy i pytam: „dokąd durny jedziesz?" Śmieje się. Pokazuję mu kierunek i nazywam ulicę: „Yamagata-dori". Skapował. Zatrzymuje konie, odwraca się, śmieje się, gada bez końca, pokazuje na palcach, targuje się. Ja mu na to: „skurczy byk jesteś, dostaniesz według taksy". Wyraz „taksa" rozumie i kontent, gdyż przeważnie płacą im mniej. Zawraca tedy i jedzie, gdzie wskazałem. Chlaszcze szkapy bez miłosierdzia (koniki mandżurskie, to kuce dziwnie podobne do prosiąt). Krzyczę mu raz i drugi: „przestań kpie jeden". Nie rozumie; odbieram mu bat. Zdumienie wielkie; szwargot; w końcu zrozumiał; potakuje i jedzie już bez

katowania. Przyjeżdżamy. Płacę parę groszy nad taksę. Zdumienie, a potym śmiech, aż się pokłada na koźle. Śmiejemy się obydwaj. Oglądam szkapiny. Powiadam: „świnia jesteś, koni nie czyścisz". Zdumienie. Pokazuje mu gestami; zrozumiał. Szwargocze coś; złazi z kozła, zaklina się, gada, gada. Ja w końcu: „no idź bracie do stu djabłów", lecz uśmiecham się do niego. Więc kontent i woła „cho! cho!" co znaczy „bardzo dobrze". Tak się rozstajemy w doskonałej komitywie.

W sklepach podobnież: sklepikarz gada po chińsku lub japońsku, ja po polsku, nie rozumiemy się nic a nic, ale mamy obydwaj twarze wesołe, uśmiechnięte, a to grunt; ten nasz szwargot to tło, a rozumiemy wzajemnie swoje giesty. Ceny zaś pokazujemy sobie na palcach, lub piszemy ołówkiem. Ostatni sposób wszakże niezupełnie pewny, gdyż okazuje się, że oni cyfr arabskich dokładnie pisać nie umieją. Lecz w końcu jakoś to tam się kończy; prawdopodobnie tym się kończy, że durny europejczyk przepłacił. Nic na to nie poradzisz! Uśmiechamy się życzliwie do siebie — a to grunt.

15/12 21.

...Wczoraj widziałem giejsze! Poszliśmy w całej kompanji do restauracji japońskiej. Było nieco ceremonji, gdyż nie mogliśmy się porozumieć, lecz w końcu znalazł się tłumacz i wszystko poszło gładko. Oczywiście musieliśmy zdjąć obuwie, poczym gospodyni i dwie kelnerki przy bezustannych dygach i uśmiechach wprowadziły nas do osobnego pokoju. Pokój bardzo duży; zasuwanemi ścianami można rozdzielić go na dwa. Na podłodze maty plecione jasno zielonkowo-oliwkowego koloru, ściany żółtawe z obramowaniem brązowym, okna papierowe rozsuwane. Mebli ani krzty; tylko dwie nisze, w których mieszczą się posążki brzuchatego śmiejącego się Buddy, drzewka karłowate, wazoniki. (W Japonji byłoby zapewne dużo kwiecia, lecz tu kwiatów prawie niema). Parę malowideł stylowych, dosyć pospolitych, lecz przecież estetycznych na ścianach, parę parawaników. Kładą nam poduszki, siadamy na nich w kucki, jak kto może. Przychodzą giejsze, dygają i siadają w kucki, raczej klękają, naprzeciw nas. Nie są bardzo ponętne, gdyż

zwołano je ad hoc, a oczywiście giejsze renomowane są rozchwytywane i trzeba je zamawiać zawczasu. Przeważnie drobne, pucołowate, lecz dwie były wcale ładne. Ubrane w barwne szaty jedwabne, powłóczyste, z pasami misternie wiązanemi i fryzurami bardzo misternemi. Rozmowa oczywiście nie kleiła się,

Japonka-giejsza w barwnym stroju, klęcząca na macie przed lustrem.

więc bawiły się one między sobą, naszym kosztem zapewne, a my gadaliśmy między sobą. Przyniesiono napoje: „saki", tj. wódkę ryżową słodkawą, którą piją ciepłą, wino, konjak, do tego jakieś ziarenka przypiekane, rodzaj orzeszków drobnych. Piliś-

my tedy do siebie. Potym szły potrawy: ryby, wieprzowina, ryż, jarzyna, wszystko w minjaturnych porcjach. Podawano to w laleczkowatych naczyniach, na lakowych taburetach, które stawiano na podłodze. Do tego dano nam „pałeczki": dwa wystrugane patyczki i wykałaczki w kopercie papierowej. Oczywiście prawie nikt z nas nie umiał ich używać. Ja zwróciłem się do swojej giejszy i ona poczęła mnie uczyć, śmiejąc się dyskretnie z mojej niezgrabności. Miała śliczne ręce o długich cieniutkich palcach i bardzo ładnie manewrowała owemi pałeczkami. Potym począł się taniec i śpiew: dwie grały na instrumentach, coś w rodzaju „teorbanu": bębenek o bokach drewnianych, dnie i wieku z pergaminu, osadzony na długiej bardzo rękojeści, na tym rozpięte trzy struny, w które się uderza kościaną deseczką. Ani muzyka, ani śpiew, ani taniec nie są zachwycające: dźwięki dosyć monotonne, mało melodyjne; śpiew jest raczej recytowaniem pod takt muzyki, a taniec polega na wykonywaniu pewnych „pas" w korowodzie i gestykulacji rąk. Czyni to wrażenie raczej swoją egzotycznością, niż estetyką. Potym główne danie: wniesiono niziutkie stoły (do kolan), z otworem w środku; w tym otworze żarzą się węgle, na które stawiają patelnie; prócz tego na dużych tacach wniesiono mięso surowe, jaja, mnóstwo jarzyn rozmaitych, i giejsze z wielką zręcznością poczęły smażyć. Smak był wcale niezły, lecz dla nas jedzenie w tej pozie — siedząc w kucki przed niskim stołem — było niebardzo wygodne. Moja giejsza zdecydowała, że jestem nadto niezgrabny i poczęła karmić mię, wsuwając mi do ust pałeczkami jadło. Czyniła to tak ładnie, że bawiliśmy się doskonale.

We wszystkim tym uderza stosunek płci. U nas „damulki" z teatrzyku, lub nawet wiejskie dziewczęta przy takiej uczcie uważałyby, że mężczyźni powinni im nadskakiwać; tu inaczej—one, usługując i bawiąc mężczyzn, czują się służebnicami. Piją oczywiście, lecz trzeba je prosić niemal o to i za każdym razem dziękują dygiem i giestem; mężczyźni siedzą na poduszkach, one na podłodze i nie dają się skłonić siąść inaczej — to byłoby przeciw etykiecie, Słowem służalczość bardzo wyraźna. Giejsze zachowują się przy tej służebności skromnie i powiedziałbym dystyngowanie. Tyle o moim spotkaniu z giejszami.

Pisano dużo o prostytucji japońskiej. Jest to cały system: są przedsiębiorcy (raczej przeważnie przedsiębiorczynie), które biorą na wychowanie dziewczęta, by je uczynić giejszami. Oczywiście wyzysk kwitnie: giejsza zarabia występami i prostytucją i musi suto zapłacić za owe wychowanie, pozostaje długie lata niewolnicą swojej wychowawczyni. Lecz dalej zaczyna się różnica pomiędzy Europą a Japonją: dziewczęta te nie są w pogardzie i — podobno — często wychodzą za mąż. Podobno ludzie zamożni żenią się właśnie z giejszami, jako „dobrze wychowanemi" gospodyniami. Jeszcze częściej stają się one „konkubinami", tj. „żonami pobocznemi". Są atoli i głosy inne: twierdzą, że taki los spotyka przecież tylko nieznaczny odsetek, a olbrzymia większość tych dziewcząt toczy psi żywot i ginie w nędzy. Zdaje się, że tak jest w istocie. Faktem pozostaje jedynie, że japończycy mają inną „etykę" w stosunkach płciowych, niż my. Podzielają zdanie Wedekinda: „die Wertung der Jungfräulichkeit ist unmoralisch" *). Tylko od żony „prawowitej", matki spadkobierców swojego majątku, japończyk żąda „wierności" po ślubie.

29/XII 21.

...Dziś chcę się z Tobą podzielić wrażeniami nie z życia, a z książki. Ponieważ bowiem mam czasu nadto, czytuję sporo (książek dostarcza tutejsza bibljoteka publiczna). Pomiędzy innemi czytam o sztuce japońskiej. Znalazłem dobrą książkę: *Epochs of chinese and japanese art. By E. F. Fenollosa* (London W. Heinemann 1913). Oto co tam wyczytałem: „China is China", — that is enough for the professed sinologue. To find evidence regarding it outside of its own forbidding records, is what they cannot conceive. How China became China is what they never ask. „East is East, and West is West, and never they shall meet", so runs Kipling's specious dictum; and American orators use it to day to affect our treaty legislation. But the truth is that they have met, and they are meeting again now; and history is a thousand times richer for the contact. They have

*) „Wartość dziewictwa jest pojęciem amoralnym" (*Red.*).

contributed a great deal to each other, and must contribute still more: they interchange views from the basis of a common humanity; and humanity is thus enabled to perceive what is stupid in its insularity. I say firmly, that in Art, as in civilization generally, the best in both East and West is that which is common to the two and eloquent of universal social construction" *). I autor wykazuje, jak na Wschodzie rozwijała się kultura, obejmująca cały Ocean Spokojny, jak oddziaływały na siebie ludy archipelagu Australji, lądów Azji i Ameryki. Jak po wiekach wielu ta kultura Wschodu spotykała się z kulturą Morza Śródziemnego, Egiptu, Grecji a miejscem spotkania były Babilon i Indje. Są zdaje się luki w tym przedstawieniu rzeczy, gdy za mało uwzględniono Persję i w późniejszym okresie świat muzułmański. Lecz samo ujęcie sprawy jest imponujące. Radzę ci książkę dostać. Ja zaś snuję na ten temat różne myśli swoje. W istocie: „Truth is that they have met, and they are meeting again now". Czy rewolucji rosyjskiej najgłębsze znaczenie nie na tym polega, że, zerwawszy z okresem „barbarzyństwa", który w przyszłości historycy datować będą może od wojny 30-letniej do roku 1917 (bez względu na wynalazki maszyny parowej, telegrafu i promieni Rentgiena), tworzy ona nowe warunki tego oddziaływania wzajemnego Wschodu i Zachodu? A jeżeli tak, to czy mnie, marnemu prochowi, nie trzeba cieszyć się z tego,

*) W przekładzie z angielskiego:

„Epoka sztuki chińskiej i japońskiej.

„Chiny są to Chiny". To wystarcza dla zwykłych znawców Chin. Wyszukiwanie zaś innych dowodów, oprócz znanych im już, stanowi dla nich rzecz trudną do zrozumienia. W jaki sposób Chiny stały się Chinami, to ich nigdy nie interesowało.

„Wschód jest to Wschód, Zachód jest to Zachód, i nigdy się one ze sobą nie zetkną", — taką myśl wypowiedział Kipling; i działacze amerykańscy to tylko mają na myśli, gdy omawiają sprawę stosunków ze Wschodem. Lecz faktem jest, że Wschód i Zachód zetknęły się już i obecnie stykają się i historja tysiąckrotnie wzbogaciła się naskutek tego zbliżenia. Pod wieloma względami uzupełniają się one nawzajem i niewątpliwie będą się w przyszłości zawsze uzupełniać. Wzajemna wymiana zdań na podstawie humanitarności, a wówczas ludzkość przekona się, że była tępą w swych stosunkach z niemi. Twierdzę stanowczo, że w sztuce, jak i wogóle w cywilizacji najlepszym we Wschodzie i Zachodzie dla powszechnego budownictwa społecznego jest to, co jest w nich obu wspólnego" (*Red.*).

że w służbie „dyplomatycznej" owej rewolucji wypada mi udział maluczki w torowaniu dróg tego zbliżenia? — Rozterka jest: co ważniejsze, praca nad wiązaniem tej sieci kulturalnej, łączącej dwa światy, czy walka z barbarzyństwem na brzegach Wisły, na piachach Mazurskich? Na schyłku lat trzeba liczyć się z tym, co mogę jeszcze czynić. Co owocniejsze — tu czy tam?.. I tu i tam?.. Czy tu... czy tam?.. Tam, na brzegach Wisły, trzeba bronić — nie Polski, sama się obroni w końcu — lecz rezultatów rewolucji; tu nad brzegami Pacyfiku przygotowywać jej żniwo. Czy tu... Czy tam? — A patrz, jak się plączą wszystkie te sprawy, jak się gmatwa ten dziwny kalejdoskop! Ów pan Fenollosa słusznie wspomniał (choć pobieżnie), że nad wielkim Pacyfikiem rodziła się kultura w przeróżnych gniazdach: i na wyspach błogosławionych południa i na północy surowej: z Alaski i Kamczatki też szedł strumyk swoisty! A teraz mnie wypada gadać z japończykami o — rybach. A te ryby odgrywają rolę decydującą dla tybulców Kamczatki. Związek taki: japończycy chcą łowić u brzegu tego półwyspu łososie. Potrzebne im to, bo dla ludności Japonji ryby jako pożywienie odgrywają wielką rolę. Lecz „kamczadałom" grozi śmierć! Łososiami żyją sami, a nadto żywią niemi swoje psy; jeżeli ryb nie starczy (a może nie starczyć, bo łososie miotają ikrę w rzekach, a gdy je wyławiają w nadmiernej ilości na wybrzerzu, u ujścia rzek, rozmnażanie zmniejsza się), wtedy głodują ludzie, wymierają psy, zaś bez psów, jedynego zwierzęcia, umożliwiającego komunikację (na Kamczatce już ren nie istnieje, tylko pies ciągnie sanie człowieka), żyć ludzie tam nie mogą. Tedy zadanie na tym polega: dać japończykom prawo łowić ryby u brzegów Kamczatki, lecz zmusić ich, by nie prowadzili gospodarki rabunkowej, by nie wytępili ryb, a z niemi psów i ludzi. Można: nauka dała możność hodowli sztucznej ryb. Trzeba, by na miejsce dwu miljonów łososi wyłowionych, puszczono do rzek Kamczatki 400 miljonów zarybku. Sprzyjam japończykom: niech artysta japoński, tworzący niedościgłe subtelności dzieła, jada w Tokjo łososinę; lecz sprzyjam także Ostjakom: niech nie zginie ich ród, który w praczasach, zdobiąc swe czółno w linje wężowate, przyczynił się do powstania tej sztuki cudnej; widzisz, jakie tu

dzierzgają się linje splątane? Pomiędzy azjatami (japończykiem a ostjakiem) wskutek rewolucji staje kujawiak z nad Wisły i, zawierając traktat dyplomatyczny japońsko-rosyjski, bronić będzie ludu pierwotnego od zachłanności kapitalistycznej rybołowów! Książka o sztuce japońskiej, napisana po angielsku przez człowieka, ponoć pochodzenia włoskiego, doprowadza polaka, biorącego udział w polityce rosyjskiej, do rozmyślań nad ostjakami! Od linji wężowatej czółna ostjackiego, poprzez sztukę subtelną — do psów i ludzi, cuchnących tranem rybim! Jedność jest w świecie i — piękny jest świat!

Dajren, 27/II 22.

...Byłem w teatrze japońskim. Marny teatr, w tym głupim Dajrenie, przy braku kultury, niema należytego teatru, lecz, co widziałem, wydało mi się ciekawym, więc opiszę. — Widownia: czworokątna spora sala, z balkonem dokoła. Podłoga wysłana matami ze słomy ryżowej. Widzowie siedzą na podłodze, na poduszkach, lub zgoła na matach, krzeseł oczywiście niema. Siedzą grupkami. Ponieważ zimno, stawiają ogrzewacze: naczynia metalowe i gliniane, w których żarzą się węgle drzewne. Płaci się za to parę groszy. Po większej więc części grupki rozsiadają się dokoła takiego ogrzewacza. Podają też na żądanie herbatę i owoce. Były matki z niemowlętami i widocznie jest to przewidziane, gdyż widziałem, że niewiasty usługujące przynosiły pieluchy i przewijano owych „zafajdańców". Bez ceremonji matki dawały pierś dzieciom. Naogół widzowie zachowywali się zgoła swobodnie, gawędząc i śmiejąc się, ale przytym dyskretnie, tak że nikt nikomu nie przeszkadzał. Scena jest oddzielona od widowni tylko przez to, że jest wzniesiona o jaki metr ponad posadzkę. Przytym przez widownię biegną dwie kładki na wysokości sceny i aktorzy niekiedy wychodzą z za kulis, lecz niekiedy przechodzą po tych kładkach, a więc pośród publiczności. Odbywa się też tu gra: o ile rzecz odgrywa się „na ulicy", aktorzy grają na tych kładkach. W antraktach zaciągają kurtynę. Kurtyna umalowana w ornamenty. Ale jakie ornamenty! Sztuka japońska wytworzyła oddawna świetną ornamentację, więc tu na tej prowincjonalnej scenie kurtyna, którą pewnie namalował

zwykły sobie malarz dekorator, była zachwycająca swoją wytworną ornamentyką.

Grano komedję z życia współczesnego, scena tedy przedstawiała mieszkanie domu japońskiego, przytym odrazu 2 pokoje przedzielone ruchomą ścianą. Scena jednakże ruchoma „Drehbühne", a jak mię zapewniano jest to urządzenie od dawien dawna znane w Japonji i ponoć Europa od Japonji nauczyła się tego. Coprawda łatwiej tu: ponieważ bowiem sprzętów na scenie prawie nie bywa, bo nie bywa ich w domach, zamiast kulis używa się parawanu i owych ścian rozsuwanych z patyków i papieru, więc mechanizm może być bardzo lekki, na poruszanie go nie trzeba maszyn skomplikowanych.

Treść sztuki była banalna (byłem z tłumaczem): młodzieniec żyje z giejszą; rywal chce mu ją odbić i nasyła niewiastę, która udaje matkę owego młodzieńca i namawia giejszę, żeby wyrzekła się kochanka, porzuciła go, ofiaruje jej za to pieniądze, giejsza odmawia; intryga się wydaje, młodzi się żenią. Widocznie cały smak w djalogach, gdyż rozprawiano dużo i publiczność śmiała się do rozpuku. Gra aktorów znakomita. Prostota i realizm wyśmienite, ludzie ruszają się i mówią zupełnie naturalnie. Natomiast w chwilach dramatycznych i komicznych (giejsza rozpacza; jakiś durny posłaniec przez pomyłkę w nieobecność młodzieńca i giejszy przyniósł trumnę i postawił w mieszkaniu — nb. trumna ma formę kubicznego pudła, bo nieboszczyków nie kładą, a mieszczą w trumnie w pozie siedzącej! — więc młodzieniec rozpacza itp.) bajecznie wyrazista. Przytym tresura głosów nadzwyczajna. Mówią aktorzy bez najmniejszego wysiłku, a słychać każdy dźwięk, każdy szept i szloch na całą salę. Modulacja głosów, ile można sądzić nie rozumiejąc słów, również świetna. W tym znać starą kulturę i ową tresurę, która japończyka czyni mistrzem w swoim zawodzie: wytresuje swój organizm tak, że dobędzie z niego wszystko, co trzeba dla danej czynności (zresztą chińczycy mają to w wyższym jeszcze stopniu). Oryginalne zgoła jest zachowanie nawet w komedji obyczajowej chóru: kończy się scena i odzywa się muzyka i śpiew zza kulis (zboku sceny jest zagrodzenie, gdzie mieszczą się niewidzialni chórzyści). Dźwięki te *ilustrują nastrój*, który

wytworzyła scena: radość, smutek, drwiny, rozpacz itp. Tony dosyć jednostajne, lecz wyrazistość bardzo dobitna. Przypomina to starożytny chór grecki, a oryginalnym jest zachowanie go nawet przy realistycznej zupełnie grze i treści powszedniego życia. Bodaj że i w tym wypowiada się *styl*, który dzięki bardzo starej kulturze tak lekko wyraża się w życiu japończyków. I jeszcze jeden szczegół: jakie ci ludzie mają cudowne ręce! W jednej z książek o Chinach znalazłem spostrzeżenie autora o „wymownych rękach azjatów". Rzeczywiście, ponoć wszyscy azjaci mają ręce nierówne bardziej giętkie, ruchliwe, wytworne od nas europejczyków.

Tyle moich spostrzeżeń. A teraz parę uwag, których się dowiedziałem od tłumacza. Tłumacz rosyjski nawiedza mnie z urzędu w celach szpiegowskich, więc postanowiłem użyć go dla celów pożyteczniejszych. Okazuje się, że chłopak dosyć wykształcony, „inteligiencik typowy". Otóż opowiadałem mu, że widziałem w Europie sławną aktorkę japońską Sada Jako, którą zachwycano się u nas wskutek jej subtelności. Objaśnił mię wtedy, że to „stara szkoła", której się obecnie już w Japonji nie ceni, gdyż była nadto „stylową", zamało realistyczną i zamało uduchowioną. Jednocześnie też opowiedział, że obecnie w Japonji bardzo popularne są dzieła dramatyczne europejskie, a najbardziej pociągają młodzież Ibsen, Tołstoj, Czechow! Tableau! Urzędniczek policyjny, który rozprawia o Ibsenie i Tołstoju!

Dajren, 15/III 22.

...Tu mam doczynienia z prusactwem Azji. Coraz więcej zato mam sympatji dla ludu japońskiego. W narodzie muszą być cudowne siły. Kwiat jego kultury, sztuka, przemawia za tym, a dziwne jakieś piękno jest też w ludziach (pomimo fizycznej brzydoty mężczyzn, przyczym uderza tu dziwnie ta brzydota i powabność niewiast), w ich formach obejścia, umiłowaniu natury, kultu dziecka itd. Natomiast politycznie złożyły się tak warunki — trzy zwycięskie wojny, przeciw Chinom, Rosji, Niemcom — że rządy dostały się w ręce mieszaniny dawnych feodałów i burżujów. Otóż ci samuraje utracili polityczną rację bytu i przeistaczają się w burżujów, w najpaskudniejszych burżujów.

A ponieważ bądź co bądź, jako klasa, dzięki tradycji mają jeszcze wpływ wielki, więc w Japonji wojna stała się gieszeftem. Gieszeft okazał się korzystnym i w tym niebezpieczeństwo na przyszłość: chce się Japonji nowych wojen, nowych zaborów. Tak ten śliczny naród zostaje skorumpowany przez panującą klikę.

Nasze z niemi sprawy smętnie się przedstawiają. Opiszę ci to, bo przecież wiedzieć powinnaś, co twój ojciec tu robi. W roku 1919 wojował przeciw Rosji rewolucyjnej Kołczak; popierali go japończycy; nie chcieli się bardzo angażować, lecz kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy posłali. Kołczaka pobito; Czerwona Armja była potrzebna przeciw Denikinowi i Polsce, więc nie wypędzono wówczas japończyków doszczętnie; opanowali oni port Władywostok i kęs kraju. W Syberji za Bajkałem utworzono republikę (RDW), będącą w sojuszu z Rosją Sowiecką (wiosną 1920 r.). Ta republika bez portu istnieć nie może, a w porcie siedzą dotąd japończycy. Nie mogą oni poprostu anektować Władywostoku (nie pozwoli Anglja i Ameryka), więc wysuwają kontrrewolucjonistów; utworzyli „biały" rząd z rozbitków armji Kołczaka (w maju 1921 r.). W lecie 1921 r. zaczęły się pertraktacje RDW z Japonją w Dajrenie. Japończykom zdawało się, że będą dyktować warunki według swego widzimisie, że owa RDW będzie kolonją jakby Japonji. Gdy to nie poszło gładko, ponieważ przedstawiciele RDW na takie warunki się nie zgadzali, japończycy próbowali zastraszyć: uzbroili owych władywostockich „białych" przeciw RDW (w listopadzie 1921 r.). Ci poszli wzdłuż kolei żelaznej i zajęli Chabarowsk (szukaj na mapie miejsca, gdzie rzeka Ussury wpada do Amuru). Tam ich rozbiła armja RDW, muszą się cofać; Armja Czerwona ich ściga (uciekają ku południowi wzdłuż kolei żelaznej) i mogłaby ich ścigać do samego Władywastoku. Lecz drogę na przestrzeni około 300 wiorst od Władywastoku na północ okupują wojska japońskie. Japoński rząd twierdził, że te wojska zachowują zupełną neutralność, lecz faktycznie owe wojska pozwoliły „białym" napadać na „czerwonych", a teraz oświadczają, że „czerwonym" nie wolno wchodzić na teren okupowany. Zadanie polityczne nasze w Dajrenie polega tedy na tym, żeby zawrzeć umowę, na mocy której japoń-

czycy wycofają swoje wojska. Targ idzie o to, co trzeba dać japończykom za to? Tymczasem jednakże zawisła nad nami groźba wojny. Armja RDW bowiem zbliża się do terenów, zajętych przez wojska japońskie; jeżeli, ścigając „białych", natrze na japończyków, wówczas obawiać się trzeba, że klika wojenna japońska, która pragnie wojny, tę wojnę sprowokuje. Możesz więc sobie wyobrazić, w jakim jestem napięciu nerwowym. Zapytasz może, co ja mam wspólnego z RDW. To rzecz właśnie bardzo skomplikowana. Zdaje się pisałem o tym, lecz powtórzę; po wojnie 1904 roku Rosja dała japończykom prawo połowu ryb na swoich wybrzeżach Oceanu Spokojnego (konwencja 1907 r.); obecnie te wybrzeża należą w części do RDW (aż po ujście Amuru), lecz dalej na północ (wybrzeże morza Ochockiego, Kamczatka — najbogatsze w ryby) należą do Rosji Sowieckiej. Wobec tego japończycy muszą pertraktować o odnowienie konwencji również z Rosją i na mnie włożono to zadanie. Lecz japończycy kręcą; powiadają: „Z Rosją będziemy pertraktować o rybołówstwie dopiero wtedy, gdy już traktat zasadniczy z RDW będzie podpisany".

Dajren, 9/III 22.

...U nas po staremu, a może o tyle się zmieniło, że praca stała się nieco denerwującą. Czerwona Armja rozbiła białych. Japończycy utracili zatym możność tworzenia na Dalekim Wschodzie organizacji państwowej wrogiej nam; stąd wniosek, że podpisanie traktatu z Republiką Dalekiego Wschodu pójdzie łatwiej. Jednakże japończycy kręcą i dotąd nie mam pewności na czym się to wszystko skończy. Są tylko niejakie widoki, że niebawem musi nastąpić jakieś rozwiązanie.

Dziś na zaproszenie sekretarza japońskiej delegacji jeździliśmy do Port-Arturu, gdzie w roku 1904 odbywały się zaciekłe boje. Oglądaliśmy fortyfikacje, które wówczas zdobywali japończycy. Oczywiście są to już kupy gruzów. Ponieważ mieliśmy specjalistów (z jednej strony uczestnik szturmów japońskiej armji, z drugiej admirał rosyjski, który brał udział w obronie) otrzymałem dokładny obraz ówczesnych działań wojennych. Okropne rzeczy działy się: po stronie szturmujących

legło 60 tysięcy ludzi, po stronie obrońców około 18 tysięcy. Sam Port-Artur jest dziurą mizerną; port marny i dla handlowych celów zgoła nie przydatny, a obecnie japończykom zbyteczny też jako forteca.

Po obrazach potwornego niszczenia doznałem potym innych wrażeń: japończycy urządzili tu małe muzeum. W muzeum jest zbiór motyli japońskich. Co za cuda! Nigdy nie myślałem, że motyle mogą być tak prześliczne w kształtach i barwach. Teraz rozumiem, gdzie szukać należy pierwowzorów ornamentyki japońskiej. Poprostu mogą kopjować żywcem te swoje motyle, a mają tysiące gotowych motywów. Gotówem pojechać jeszcze raz, jedynie dla tej kolekcji motylów. Po tych motylach bardzo pragnę zwiedzić właściwą Japonję.

Dajren, 1/IV. 22.

Ohajo, ohajo! To znaczy po japońsku dzieńdobry, a raczej „dobry poranek". Prawda jakie to śliczne! Jak okrzyk juhasa w Tatrach. Ohajo! Urządziłem sobie mały sport ucząc się kilkudziesięciu wyrazów po japońsku. W ten sposób bawimy się kapitalnie z „boyami" i z „ama", kelnerkami. Oni mnie uczą po japońsku, ja ich po rosyjsku: więc umiem liczyć: iti, ni, san, si, go, roku, chyczy, haczy, ku, żu *). Żądając potrawy według jadłopisu mówię: dai-go, co znaczy „piąty" (numer spisu). Ale nadto i niektóre wyrazy znam: kudamono, kudasaji — równa się „owoce, proszę" lub jaasaj — jarzyna itd. Język jest o tyle łatwy, że nie zna ani rodzaju, ani przypadku, niema ponoć i konjugacji, lecz trudny tym, że ma wielką mnogość form. Nie można np. powiedzieć: „przynieść", tylko „wziąwszy, chodź". A ogromnie trudne jest to, że trzeba ściśle przestrzegać jakiejś skomplikowanej hierarchji, do równego sobie jeden zwrot, do „wyżej" lub „niżej" postawionej osoby — inny. Powiedziałem kiedyś do kelnerki: „arigato gozaimasu", gdyż ona tak mówiła do mnie, a znaczy to „dziękuję uprzejmie"; była wielce tym przerażona. Okazuje się, że ona mówi: „arigato gozaimasu", ale ja mogę do niej powiedzieć tylko „arigato" — dziękuję.

*) Raz, dwa, trzy, — — — — — — dziesięć (*Red.*).

Są to formy świadczące o tym, że kultura ich jest nawskroś „pańska" i przeżytki feodalizmu są jeszcze żywotne bardzo.

Zaprosili nas z Bronką do siebie znajomi japończycy (inteligiencja tutejsza). Tam mieliśmy przykładzik ceremonjału. Siedzi się w kucki na podłodze na poduszce. Gdy wchodzi ktoś nowy, odbywa się przywitanie w ten sposób: przybyły pokolei przyklęka obok każdego z siedzących i wtedy obaj klęcząc uderzają głowami o podłogę po kilkakroć, wymieniając ugrzecznione frazesy. Tak było w jednym domu, gdzie był stary ojciec; innym razem, gdy była tylko młodzież, zaniechali tej formy i tylko kłaniali się. Tłumaczyli mi, że nie chcieli obrażać owego staruszka. Stąd wnoszę, że jednakże owe formy przesadnej grzeczności zanikają powoli: młode pokolenie buntuje się przeciw nim! Lecz drugi ciekawy objaw, to pewna dwoistość w życiu, zwłaszcza inteligiencji. Ubierają się, —przynajmniej mężczyźni — po europejsku na ulicę i do pracy w biurach etc.; lecz w domu wolą ubierać się w „kimono"; jadają w części po europejsku, w części po japońsku. Jeden z nich opowiadał, że koniecznie pragnąłby mieszkać po europejsku, lecz, niestety, kosztuje to bardzo drogo. W istocie: w domku japońskim gdzie podłoga pokryta „tamatą" tj. grubą matą z sitowia, nie można używać stołu lub stołków, gdyż zaraz ta mata się podziurawi; trzeba więc odrazu przemieniać całe urządzenie domu; przytym meble europejskie są tu bardzo drogie. Pytałem tedy, dlaczego temu jegomości nie podoba się japoński tryb? Wskazał mi na różne dolegliwości. Przedewszystkim: w japońskim domu niema ścian wewnętrznych z cegły lub desek, są tylko przesuwalne ścianki, składające się z kratki cienkich deseczek, oklejonych papierem. Wobec tego oczywiście niema absolutnie możności izolowania się, żyje się zawsze kupą. A ponieważ rozmówca mój był to inteligiencik, przejęty Ibsenem i Makayem, potrosze ponoć anarchista, nietrudno zrozumieć, jak mu to ciąży.

Odbywa się tedy proces „europeizacji". Czy wobec tego ostoi się stara kultura, wątpić należy, gdyż oczywiście swoistość każdej kultury narodowej polega w ogromnym stopniu na formach. Czy należy żałować tego zaniku? Trudno tu oczywiście rzec coś stanowczego.

Zwiedziliśmy też z Bronką szkołę tutejszą. A la bonheur *), urządzenie świetne i stosują metody postępowe: koedukacja, slojd, dużo ruchu, gimnastyka, śpiew; doskonałe pomoce naukowe, — globusy, mapy obrazkowe dla „nauki o rzeczy", gabinet fizyczny, laboratorja chemiczne. A przytym również i to, o czym myślano w Rosji: dzieci same czynią porządki. Oczywiście bez znajomości języka trudno poznać sprawę gruntownie, lecz zewnętrzne wrażenie doskonałe. Dzieciaki wesołe, czuć, że nie znają przymusu; różne „robótki" śliczne i zupełnie „indywidualne", to znaczy chłopaki i dziewczynki robią z gliny, drzewa, drutu, tkanin, papieru, sznurków różne rzeczy nie według wzoru, a każde według swojej fantazji.

A tymczasem w życiu japońskim idą walki społeczne na całego. Ruch robotniczy przybiera formy nader ostre, a rząd zwalcza go środkami policyjnemi. Obecnie toczy się walka z jednej strony o „powszechne prawo wyborcze", a z drugiej strony o — prawo wyjątkowe, które chce przeprowadzić rząd; kubek w kubek niemieckie „Ausnahmegesetz gegen den Umsturz" **) z przed 40-tu lat! Forma walki często bywa swoistą. Oto niedawno jakiś robotnik Fudża wszedł do ogrodu pałacu cesarskiego, a gdy go policja zatrzymała — zabił się bombą. Przy trupie znaleziono petycję na imię regienta (cesarz obecny zwarjował), w której powiedziano, że — rząd jest podły, gubi naród, że robotnicy japońscy dalej tak żyć nie mogą; na znak protestu, by zwrócić uwagę regienta na klęskę grożącą, on, Fudża, odbiera sobie życie. Jest to głęboko japońskie: w nowym zastosowaniu „harakiri". Dawny szlachcic, samuraj, rozpruwał sobie brzuch, gdy chciał protestować przeciw czynom mikada lub wyższego od siebie feodała; dziś robotnik zabija się bombą na znak protestu. Fudża wierzy w monarchę, do niego się zwraca, to charakterystyczne. Lecz w styczniu 1905 r. robotnicy Petersburga, którzy w dziesięć tysięcy poszli za Gaponem przed pałac cesarski, też wierzyli! Co będzie dalej?.. Sprawy Dajreńskie zbliżają się ku końcowi. Za parę dni albo zostanie podpisana

*) Na szczęście (*Red.*).

**) Prawo wyjątkowe przeciwko socjalistom (*Red.*).

umowa, albo pertraktacje zostaną zerwane. W drugim wypadku wyjadę, w pierwszym czeka mnie jeszcze ze dwa tygodnie pertraktacji o rybołówstwie. Pragnąłbym po ukończeniu wracać do Moskwy, lecz nie mam pewności. Jeżeli pójdzie po mojej myśli, to stąd zajadę do Pekinu, zapoznam się tam ze sprawami, pojadę do Moskwy, a już potym zobaczymy, czy wrócę na Wschód. Sajonara, sajonara — dowidzenia!

„Stary" port w Dajrenie, zwany „rosyjskim".

Treść

Str.

Od redakcji 3

Kilka okresów z życia J. B. Marchlewskiego. — B. Marchlewska 5

Wspomnienia. Dzieciństwo 13

Made (obrazek) 23

„Sylwester“ w Cytadeli 30

Przed Pierwszym Majem w Warszawie 40

Listy z Japonji 46

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Książki J. B. Marchlewskiego (Karskiego) w języku polskim:

Fizjokratyzm w Polsce. R. 1898. Skrócone przez autora dla wydania polskiego.

* **Czem jest i czego uczy ekonomja polityczna.** R. 1901. Z przedmową z r. 1921. Trybuna Moskwa. Str. 56. Cena 10 kop.

Stosunki społeczne i ekonomiczne w Ziemiach Polskich Zaboru Pruskiego. Rok 1903. Str. 392.

Jak i o co walczyć. Rok 1905. Str. 68.

Duma carska i bezprawie wyborcze. Rok 1906. Str. 36.

Precz z socjaldemokratami. Rok 1906. Str. 36.

* **O dochodzie.** Rok 1907. Str. 172. Cena 50 kop.

* **Antysemityzm a robotnicy.** Rok 1913. Z przedmową ros. 1918. Trybuna Moskwa. Str. 96. Cena 25 kop.

Wobec kwestji rolnej w Polsce. Rok 1918. Trybuna Moskwa. Str. 72. (wyczerpano).

* **Komuniści a wiejski lud roboczy.** Rok 1919. Str. 16. Cena 3 kop.

Pan Stanisław Grabski w świetle tajnych dokumentów rządu carskiego. Przyczynek do oceny patrjotyzmu Narodowej Demokracji. Rok 1920. Moskwa. Str. 16.

* **Rosja proletarjacka a Polska burżuazyjna.** Rok 1921. Trybuna Moskwa. Str. 82. Cena 15 kop.

Wydane po śmierci autora:

* **Legiendy o królach Polski.** Z ilustracjami. Rok 1926. Trybuna Moskwa. Str. 32. Cena 25 kop.

* **Sprawa rolna a rewolucja socjalistyczna.** Rok 1927. Trybuna Moskwa. Str. 56. Cena 50 kop.

* **Księga pamiątkowa o J. B. Marchlewskim.** Z licznemi ilustracjami. Rok 1925. Centr. Wyd. Lud. ZSRR Moskwa. Str. 184. Cena 70 kop.

Z historji Polski (po rosyjsku). Rok 1925. Str. 52.

Książki, oznaczone *, są do nabycia w księgarniach Centralnego Wydawnictwa Ludów ZSRR (Moskwa, Charków, Kijów), „Trybuna“ (Moskwa) i „Kultury“ (Mińsk).

80 -
60/513438/1284

Ant. Nauk
W-wa 21 11 85
- 80 zł -

ЦЕНА 45 КОП. CENA 45 KOP.

НА ПОЛЬСКОМ ЯЗЫКЕ

Ю. Б. МАРХЛЕВСКИЙ. Воспоминания детства. Литературные эскизы. Письма из Японии.

С предисловием Б. МАРХЛЕВСКОЙ. Под редакцией Ст. БОРСКОГО

Издание Б. МАРХЛЕВСКОЙ.

Склад издания: Москва, Никольская 10. Центральное Издательство Народов СССР.

BIBLIOTEKA NARODOWA
BN
1406718
zdj
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001012447082